czytamy klasykę literatury

LITERATURA NIEMIECKA

Karol May

Winnetou. Czerwonoskóry gentleman. Tom I

POWIEŚCI

WYDAWNICTWO PSYCHOSKOK

Karol May

Winnetou.
Czerwonoskóry gentleman.
Tom I

Wersja demonstracyjna

Wydawnictwo Psychoskok
Konin 2017

Karol May

„Winnetou. Czerwonoskóry gentleman. Tom I”

Copyright © by Karol May, 1910
Copyright © by Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o. 2017

Zabrania się rozpowszechniania, kopiowania
lub edytowania tego dokumentu, pliku
lub jego części bez wyraźnej zgody wydawnictwa.

Tekst jest własnością publiczną (public domain)
Tekst oryginalny tłumaczenia: anonimowy.

ZACHOWANO PISOWNIĘ
I WSZYSTKIE OSOBLIWOŚCI JĘZYKOWE.

Skład: Łukasz Chmielewski
Projekt okładki: Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.
Druk: Aleksander Ripper
Wydawnictwo: „Przez Lądy i Morza“
Lwów, 1910

ISBN: 978-83-7900-798-1

Wydawnictwo Psychoskok sp. z o.o.
ul. Spółdzielców 3, pok. 325, 62-510 Konin
tel. (63) 242 02 02, kom. 695-943-706
http://www.psychoskok.pl/
e-mail:wydawnictwo@psychoskok.pl

ROZDZIAŁ I.

Greenhorn.

Czy wiesz, Szanowny Czytelniku, co to jest greenhorn, określenie wysoce złośliwe i uchybiające temu, względem którego się go użyje?

Green znaczy zielony, przez horn należy rozumieć macadełko. Greenhorn to zielony, a zatem nowy i niedoświadczony człowiek, który musi macadełka wysuwać naprzód ostrożnie, jeśli się nie chce narazić na niebezpieczeństwo wyśmiania.

Greenhorn to człowiek, który nie wstaje z krzesła, gdy lady chce na niem usiąść, pozdrawia pana domu, zanim się pokłoni mistress i miss, wsuwa odwrotnie nabój do lufy przy nabijaniu strzelby, albo najpierw pakuł, potem kulę, a dopiero na końcu proch. Greenhorn albo wcale nie mówi po angielsku, albo bardzo czysto i wyszukanie, a okropnością jest dlań angielski język Jankesów, lub narzecze zaleśne, które żadną miarą nie chce mu wleźć do głowy, a tem mniej na język. Greenhorn uważa racoona za opossum, a średnio ładną mulatkę za kwadronkę. Greenhorn pali papierosy, a brzydzi się wypluwającym sok tytoniowy sirem. Greenhorn otrzymawszy policzek od Paddy, leci ze skargą do sędziego pokoju zamiast, jak prawdziwy Jankes, zastrzelić napastnika na miejscu. Greenhorn weźmie ślady turkeya za trop niedźwiedzi, a lekki sportowy jacht za parowiec z rzeki Missisipi. Greenhorn wstydzi się swoje brudne buty położyć na kolanach towarzyszowi podróży, a gdy pije rosół, to nie chlipie jak konający bawół. Greenhorn wlecze z sobą na prerye gąbkę do mycia wielkości harbuza i dziesięć funtów mydła; zabiera w dodatku kompas, który już na trzeci dzień wskazuje wszystkie możliwe kierunki z wyjątkiem północy. Greenhorn zapisuje sobie ośmset indyańskich wyrazów, a spotkawszy się z pierwszym czerwonoskórcem, przekonywa się, że zapiski te wysłał w ostatniej kopercie do domu, a list schował do kieszeni. Greenhorn uczył się przez dziesięć lat astronomii, ale choćby przez taki sam czas patrzał na niebo, nie poznałby, która godzina. Greenhorn wtyka nóż za pas w ten sposób, że kaleczy się w udo, gdy się pochyli. Greenhorn roznieca na

dzikim Zachodzie tak duże ognisko, że płomień bucha do wysokości drzewa, a gdy go Indyanie zauważą i zastrzelą, dziwi się, że mogli go znaleźć. Greenhorn to właśnie greenhorn i takim byłem wówczas ja także.

Nie należy jednak sądzić, jakobym przyznawał, że to przykre określenie stosowne było dla mnie. Żadną miarą! Najwybitniejszą cechą greenhorna jest właśnie to, że raczej wszystkich, niż siebie za „zielonych" uważa.

Przeciwnie, zdawało mi się, że jestem rozsądnym i doświadczonym człowiekiem; wszak uczyłem się wiele i nigdy, jak to mówią, nie bałem się egzaminu! Jako młody nie zastanawiałem się wówczas nad tem, że życie jest właściwą i prawdziwą wszechnicą, w której pytani są uczniowie w obliczu opatrzności co dzień i co godziny. Nieprzyjemne stosunki w ojczyźnie i wrodzona żądza czynu zapędziły mnie za ocean do Stanów Zjednoczonych, gdzie warunki bytu były dla młodego i zapobiegliwego człowieka daleko lepsze podówczas niż teraz. Mogłem w państwach wschodnich znaleźć dobre utrzymanie, ale coś pędziło mnie na Zachód. Podejmując się różnej pracy, zarabiałem tyle, że przybyłem do St. Louis dobrze wyposażony na zewnątrz, a wewnętrznie pełen najlepszych myśli. Tam zawiodło mię szczęście na łono pewnej rodziny, u której jako nauczyciel domowy znalazłem chwilową ostoję. Bywał tam mr. Henry, oryginał i rusznikarz, który oddawał się swemu rzemiosłu z zamiłowaniem artysty, a siebie nazywał z patryarchalną dumą mr. Henry the gunsmith.

Był to wielki filantrop, pomimo że wyglądał na coś przeciwnego, gdyż prócz wspomnianej rodziny nie utrzymywał z nikim stosunków, a ze swoimi odbiorcami obchodził się tak szorstko, że ci tylko dla dobroci towaru nie omijali jego sklepu.

Utracił żonę i dzieci wskutek jakiegoś okropnego wypadku. O tem nigdy nie chciał mówić, ale domyśliłem się z niektórych wzmianek, że wymordowano ich podczas jakiegoś napadu. Ten straszny cios zapewne spowodował u niego szorstkość w obejściu. On sam może nawet nie wiedział, jak skończonym był grubianinem, w głębi jego duszy jednak tkwiła łagodność i dobrotliwość, gdyż nieraz widziałem, jak oczy mu łzami zachodziły, ilekroć opowiadałem o ojczyźnie i moich rodakach, do których całem sercem byłem i jestem przywiązany.

Nie mogłem długi czas zrozumieć, dlaczego ten stary człowiek właśnie mnie, młodemu i obcemu, okazywał tyle przychylności, aż raz sam mi to powiedział. Przychodził do mnie często, przysłuchiwał się nauce, a po jej skończeniu zabierał mnie z sobą na miasto. Raz nawet zaprosił mnie do siebie w gościnę. Tego rodzaju wyróżnienie nikogo jeszcze z jego strony nie spotkało, dlatego wahałem się, czy

mam z tego skorzystać. Ale moje ociąganie się nie podobało mu się widocznie. Dziś jeszcze przypominam sobie minę, jaką zrobił, gdy pewnego razu do niego przyszedłem, i ton, z jakim mnie przyjął, nie odpowiadając na moje good evening.

— Gdzieżeście to siedzieli wczoraj, sir?

— W domu.

— A przedwczoraj?

— Także w domu.

— Nie tumańcie mnie!

— Mówię prawdę, mr. Henry!

— Pshaw! Takie żółtodzióby, jak wy, nie siedzą w gnieździe, ale wciskają się wszędzie, gdzie mogą, tylko nie tam, gdzie należy!

— Powiedzcież łaskawie, gdzie to należy?

— Tu do mnie. Zrozumiano? Miałem już dawno o coś was zapytać.

— Czemuż nie uczyniliście tego?

— Bo mi się nie chciało.

— A kiedy wam się zechce?

— Może dzisiaj.

— A więc pytajcie śmiało — wezwałem go, siadając wysoko na ławce, przy której pracował.

Spojrzał mi w twarz zdziwiony, potrząsnął karcąco głową i zawołał:

— Śmiało! Jak gdybym takiego greenhorna, jak wy, miał dopiero pytać o pozwolenie, czy mogę z nim mówić!

— Greenhorna? — odrzekłem, marszcząc czoło, gdyż uczułem się ciężko dotkniętym. — Przypuszczam, mr. Henry, że wam się to słowo bez zamiaru wyrwało!

— Nie wyobrażajcie sobie za wiele! Powiedziałem to z pełnym namysłem. Jesteście greenhorn i to jaki jeszcze! Treść przeczytanych książek dobrze wam siedzi w głowie; to prawda. To wprost zdumiewające, ile wy się tam musicie uczyć! Ten młodzieniec wie dokładnie, jak daleko są gwiazdy, co król Nebukadnezar pisał na kamieniach, ile waży powietrze, którego nawet nie widział. Pełen takiej wiedzy wyobraża sobie, że jest mędrcem. Ale wsadźcie nos w życie, rozumiecie mnie, tak z pięćdziesiąt lat w życie, wówczas dowiecie się może, na czem polega mądrość właściwa! Wasze dotychczasowe wiadomości są niczem, wprost zerem, a to, co potraficie, to ma jeszcze mniejszą wartość, wy z pewnością nie umiecie nawet

strzelać!

Powiedział to z wielką pogardą i tak stanowczo, jak gdyby był pewny swej sprawy.

— Strzelać? Hm! — odparłem z uśmiechem. — Czy to pytanie chcieliście mi przedłożyć?

— Tak. Teraz odpowiedźcie!

— Dajcie mi dobrą strzelbę do ręki, to dostaniecie odpowiedź, pierwej nie.

Na te słowa odłożył on lufę, którą śrubował, wstał, zbliżył się do mnie, utkwił we mnie zdziwione oczy i zawołał:

— Strzelbę do ręki, sir? Tego się nie spodziewajcie po mnie! Moje strzelby dostają sią tylko w takie ręce, którym razem z niemi mogą powierzyć mój honor!

— Ja mam takie rące — stwierdziłem.

Spojrzał na mnie tym razem z boku, usiadł, zaczął znowu pracować nad lufą i mruczał pod nosem.

— Taki greenhorn! Gotów mnie na prawdę rozzłościć swojem zuchwalstwem!

Nie wyszedłem z równowagi, ponieważ go znałem. Wyjąłem cygaro i zapaliłem. Mój gospodarz milczał może kwadrans, ale dłużej nie wytrzymał. Podniósł lufę pod światło, popatrzył przez nią i zauważył:

— Strzelać to nie jest to, co patrzeć na gwiazdy, lub czytać

ze starych kamieni Nebukadnezara. Zrozumiano? Czy mieliście kiedy strzelbę w ręku?

— Miałem.

— Kiedy?

— Dość dawno.

— Czyście mierzyli także, wypalili?

— Tak.

— I trafiliście?

— Oczywiście.

Na to opuścił on prądko trzymaną w ręku lufę, spojrzał znów na mnie i rzekł:

— Tak, trafiliście, naturalnie, ale w co?

— W cel, to się samo przez się rozumie.

— Co? Tego we mnie nie wmawiajcie!

— Nie wmawiam, lecz stwierdzam zgodnie z prawdą.

— Niech was dyabeł porwie, sir! Was nie można zrozumieć. Jestem pewien, że chybilibyście, choćbyście strzelali w mur na dwadzieścia łokci wysoki i pięćdziesiąt długi, a robicie do swego twierdzenia minę tak poważną i pewną siebie, że żółć się w człowieku przewraca. Ja nie jestem chłopakiem, któremu lekcyi udzielacie, rozumiecie! Taki greenhorn i mól książkowy, jak wy, chce umieć strzelać! Grzebał nawet w tureckich, arabskich i innych głupich szpargałach i znalazł przytem czas na strzelanie! Zdejmcie to staro gun tam z gwoździa i złóżcie się niem jak do celu. To rusznica na niedźwiedzie, najlepsza ze wszystkich, jakie miałem w rękach!

Poszedłem za jego wezwaniem.

— Halloo! — zawołał, zrywając się. — A to co?

Obchodzicie się z tą strzelbą jak z laseczką, a to najcięższe gun, jakie znam. Posiadacie taką siłę fizyczną?

Zamiast odpowiedzi chwyciłem go zdołu za kamizelkę i haftkę u spodni i podniosłem prawą ręką do góry.

— Thunder — storm! — zakrzyknął. — Puśćcie! Jesteście o wiele silniejsi od mego Billa.

— Waszego Billa? Kto to?

— To był mój syn, który... ale dajmy temu spokój! Nie żyje tak jak i reszta. Rósł na dzielnego chłopa, ale sprzątnięto go razem z innymi w czasie mej nieobecności. Podobni jesteście do niego z postaci, macie prawie takie same oczy, ten sam układ ust i dlatego was... ale to was przecież nic nie obchodzi!

Twarz jego nabrała wyrazu głębokiego smutku; przesunął po niej ręką i rzekł weselej:

— Wielka szkoda, że, mając tak silne muskuły, rzuciliście się do książek. Powinniście byli ćwiczyć się fizycznie!

— Robiłem to.

— Rzeczywiście?

— Tak.

— Boksujecie się?

— U nas nie jest to w użyciu. Ale gimnastykuję się i mocuję.

— Jeździcie konno?

— Tak.

— A w szermierce?

— Udzielałem lekcyi.

— Człowiecze, nie blaguj!

— Może spróbujemy?

— Dziękuje, mam dość tego, co było! Muszę zresztą pracować. Usiądźcie napowrót!

Wrócił do warsztatu, a ja za nim. Rozmowa stała się skąpą,

bo Henry zajęty był widocznie jakiemiś myślami. Naraz podniósł oczy od roboty i zapytał:

— Czy zajmowaliście się matematyką?

— To jedna z moich ulubionych nauk.

— Arytmetyką, geometryą?

— Oczywiście.

— I miernictwem?

— Nawet z wielkiem upodobaniem. Uganiałem często bez potrzeby z teodolitem po polach.

— Potraficie robić pomiary naprawdę?

— Tak, brałem udział w pomiarach poziomych i wysokości, chociaż wcale nie uważam się za skończonego geodetę.

— Well, dobrze, bardzo dobrze!

— Czemu o to pytacie, mr. Henry?

— Mam do tego powód. Zrozumiano? Jaki, to się jeszcze kiedyś pokaże. Muszę najpierw wiedzieć, hm, tak muszę najpiew wiedzieć, czy umiecie strzelać.

— Wystawcie mnie na próbę!

— Zrobię to; tak zrobię, bądźcie tego pewni. Kiedy jutro rozpoczynacie naukę?

— O ósmej rano.

— To wstąpcie do mnie o szóstej. Pójdziemy na strzelnicę, gdzie zaprawiam moje strzelby do strzelania, — Czemu tak wcześnie?

— Bo nie chce mi się dłużej czekać. Zawziąłem się, żeby was przekonać, jaki z was greenhorn. Na teraz dość już; mam coś o wiele ważniejszego do roboty.

Uporał się widocznie z lufą, wyjął z szafy wieloboczny kawałek żelaza i zaczął opiłowywać jego rogi. Zauważyłem na powierzchni każdego rogu otwór.

Henry pracował nad tem z taką uwagą, że zapomniał prawie zupełnie o mej obecności. Oczy mu się iskrzyły, gdy od czasu do czasu przypatrywał się swojemu dziełu; bił z jego oczu, rzekłbym, wyraz miłości. Ten kawałek żelaza miał

widocznie wielką wartość dla niego. Ponieważ mię to zaciekawiło, dlatego zapytałem:

— Czy to będzie część strzelby?

— Tak — odrzekł, jak gdyby sobie przypomniał, że jeszcze jestem.

— Ja nie znam systemu broni z tego rodzaju częścią składową.

— Wierzę. Taki ma dopiero powstać. Będzie to system Henry'ego.

— Aha, nowy wynalazek?

— Yes.

— W takim razie proszę wybaczyć, że zapytałem! To oczywiście tajemnica.

Zaglądał do wszystkich dziurek przez dłuższy czas, obracał to żelazo w różnych kierunkach, przykładał je kilka razy do tylnego wylotu lufy, nakoniec odezwał się:

— Tak, to tajemnica; wiem jednak, że milczeć umiecie, chociaż z was skończony i prawdziwy greenhorn; dlatego powiem wam, co z tego będzie: sztuciec repetierowy na dwadzieścia pięć strzałów.

— Niemożliwe!

— Zamknijcie dziób! Nie jestem taki głupi, żebym się porywał do niemożliwych rzeczy!

— W takim razie musielibyście mieć komory na amunicyę dla dwudziestu pięciu strzałów!

— To też je mam!

— Ale niewątpliwie duże, niezgrabne i ciężkie.

— Będzie tylko jedna komora, bardzo wygodna. To żelazo jest komorą.

— Wcale się nie rozumiem na waszem rzemiośle, ale obawiam się, czy się lufa zanadto nie rozgrzeje?

— Ani sie jej śni. Materyał i sposób obchodzenia się z lufą jest moją tajemnicą. Zresztą, czy potrzeba naraz wystrzelić dwadzieścia pięć nabojów jeden za drugim?

— Chyba nie.

— A zatem! To żelazo będzie walcem obracającym się, dwadzieścia pięć otworów zawierać będą tyleż nabojów. Przy każdym strzale posunie walec następny nabój ku lufie. Długie lata nosiłem się z tym pomysłem, długo się to nie udawało; teraz jest nadzieja, że się to jakoś sklei. Już obecnie jako gunsmith mam dobre imię, ale potem stanę się sławnym, bardzo sławnym i zarobię bardzo dużo pieniędzy.

— A w dodatku obciąży pan sumienie!

Patrzył na mnie przez chwilę zdumiony, poczem zapytał:

— Sumienie? Jakto?

— Sądzicie, że morderca może mieć czyste sumienie?

— Zounds! Czy chcecie powiedzieć, że jestem mordercą?

— Teraz nie jeszcze.

— Albo, że nim zostanę?

— Tak, gdyż pomoc w morderstwie jest tak samo zbrodnią jak morderstwo.

— Niech was dyabli porwą! Nie będę pomagał do żadnego morderstwa! Co wygadujecie?

— Oczywiście nie w pojedynczych, ale masowych.

— Jakto? Nie rozumiem was.

— Jeżeli sporządzicie strzelbę na dwadzieścia pięć strzałów

i oddacie ją w ręce każdego zbója, to na preryach, w puszczach i w górskich wąwozach rozpocznie się wnet okropne mordowanie. Do biednych Indyan strzelać będą jak do kujotów i za kilka lat nie ostanie się ani jeden Indsman. Gotowi jesteście wziąć to na swoje sumienie?

Wypatrzył się na mnie w milczeniu.

— Jeżeli każdy będzie mógł za pieniądze nabyć taką strzelbę — mówiłem dalej — to zbierzecie wprawdzie po kilku latach tysiące, ale mustangi i bawoły będą wytępione, a wraz z nimi wszelkiego rodzaju zwierzyna, potrzebna czerwonoskórym do życia. Setki i tysiące myśliwców uzbroją się w wasze sztućce i pójdą na Zachód. Krew ludzi i zwierząt popłynie strumieniami i niebawem wyludnią się okolice z tej i z tamtej strony Gór Skalistych z wszelkich żywych istot.

— 'sdeath! — zawołał. — Czy rzeczywiście przybyliście tu niedawno z Germany?

— Tak.

— A przedtem nigdy nie byliście tutaj?

— Nie.

— A tem mniej na dzikim Zachodzie?

— Także nie.

— A zatem zupełny greenhorn. Mimo to gębuje tak, jak gdyby był pradziadkiem

wszystkich Indyan i żył już tutaj od stu lat! Człowieczku, nie wyobrażajcie sobie, że napędzicie mi strachu! A gdyby nawet było tak, jak przedstawiacie, to wiedzcie, że wcale nie zamierzam zakładać fabryki broni. Jestem człowiek samotny i chcę samotnym pozostać. Nie mam ochoty ujadać się ze stu lub więcej robotnikami.

— Moglibyście uzyskać patent na swój wynalazek, sprzedać go i dużo na tem zarobić.

— O to wy się nie troszczcie, sir! Dotąd miałem dość na swoje potrzeby; spodziewam się, że i nadal biedy nie zaznam. Teraz zabierajcie się do domu! Nie będę dłużej słuchał pisku ptaszka, który musi najpierw z gniazda wylecieć, zanim się śpiewać nauczy.

Nie obraziłem się za te szorstkie słowa. Taka była jego natura, nie wątpiłem ani na chwilę, że mnie szanuje. Polubił mnie i chciał z pewnością wspierać mnie, o ileby mógł, pod każdym względem. Podawszy mu rękę na pożegnanie, którą on silnie potrząsnął, odszedłem.

Nie przeczuwałem, jak ważnym miał się stać dla mnie ów wieczór, a tem mniej, że ciężka rusznica, którą Henry nazwał „starem gun", oraz niegotowy jeszcze sztuciec odegrają w przyszłem mem życiu tak wielką rolę. Cieszyłem się jednak myślą o następnym poranku, gdyż strzelałem już rzeczywiście dużo i dobrze i byłem pewien, że popiszę się przed moim starym osobliwym przyjacielem.

Stawiłem się u niego punktualnie o szóstej godzinie rano. Czekał już na mnie, przywitał się ze mną, a po jego starej, poczciwie surowej twarzy, przebiegł lekki, jakby drwiący uśmiech.

— Welkome, sir! — rzekł. — Macie minę zwycięzcy. Czy zdaje wam się, że traficie w mur, o którym wczoraj mówiłem?

— Spodziewam się.

— Well, zobaczymy. Ja wezmę lżejszą strzelbę, a wy poniesiecie rusznicę, bo nie chce mi się wlec z takim ciężarem.

On przewiesił sobie przez plecy lekką dwururkę, a ja wziąłem „stare gun", stosownie do jego życzenia. Gdyśmy przybyli na strzelnicę, nabił obydwie strzelby i dał najpierw dwa strzały ze swojej. Potem przyszła kolej na mnie. Nie znałem jeszcze tej rusznicy, trafiłem mimo to pierwszy raz w samą krawędź czarnego koła na tarczy. Drugi raz powiodło się jeszcze lepiej, trzeci strzał padł już dokładnie w sam środek, a wszystkie następne kule przeleciały przez dziurę, wybitą za trzecim razem.

Zdumienie Henry'ego wzmagało się za każdym strzałem; musiałem spróbować i

jego dwururkę, a gdy i teraz okazał się ten sam wynik, zawołał on:

— Albo macie dyabła w sobie, sir, albo jesteście wprost urodzeni na westmana. Nie widziałem jeszcze tak strzelającego greenhorna!

— Dyabła nie mam, mr. Henry — zaśmiałem się. — Nie chcę nic wiedzieć o takiem przymierzu.

— W takim razie jest waszem zadaniem, a nawet powinnością zostać westmanem. Czy nie czujecie do tego ochoty?

— Owszem!

— Well, zobaczymy, co się da zrobić z greenhorna. A konno umiecie także jeździć?

— Od biedy.

— Od biedy? A więc nie tak dobrze jak strzelać?

— Pshaw! Niema nic nadzwyczajnego w tej jeździe! Najtrudniej dosiąść konia. Gdy się już znajdę w siodle, nie dam się zrzucić żadnemu koniowi.

Spojrzał na mnie badawczo, czy mówię poważnie, czy żartem. Zrobiłem minę, jak gdybym się nie domyślał niczego, a on zauważył:

— Tak rzeczywiście sądzicie? Chcecie zapewne trzymać się grzywy? W takim razie jesteście w błędzie. Sami przyznaliście, że najtrudniej dostać się na siodło, bo to trzeba wykonać o własnych siłach. Zsiąść o wiele łatwiej, gdyż o to już koń się stara i to bardzo prędko.

— U mnie koń się o to nie postara!

— Tak? Zobaczymy! Może spróbujecie?

— Z chęcią.

— To chodźcie! Dopiero siódma godzina, macie jeszcze dość czasu. Pójdziemy do Jima Kornera, odnajmującego konie. Ma on deresza, który się już o to dla was postara.

Wróciliśmy do miasta, odszukaliśmy handlarza koni, który posiadał dużą ujeżdżalnię, otoczoną stajniami. Korner wyszedł sam i zapytał, czego żądamy.

— Ten młodzieniec twierdzi, że żaden koń nie zrzuci go z siodła — odpowiedział Henry. — Cóż wy na to, mr. Korner?

Pozwolicie mu wydrapać się na waszego deresza?

Handlarz zmierzył mnie badawczym wzrokiem, potrząsnął potem głową i odrzekł:

— Kościec zdaje się dobry i giętki; zresztą młodzi ludzie nie łamią karku tak łatwo, jak starsi. Jeżeli ten gentleman chce spróbować deresza, to nie mam nic przeciwko temu.

Wydał odpowiednie rozkazy i niebawem wyprowadzili ze stajni dwaj parobcy osiodłanego konia. Był bardzo niespokojny i usiłował się wyrwać. Stary mr. Henry zląkł się o mnie i prosił, żebym próby zaniechał, ale ja się po pierwsze nie bałem, a po drugie uważałem tę sprawę za rzecz honoru. Kazałem sobie podać bicz i przypiąć ostrogi i po kilku daremnych skokach konia, którymi chciał nie dopuścić do uskutecznienia mego zamiaru, wydostałem się na siodło.

W tej samej chwili odbiegli parobcy czemprędzej, a deresz rzucił się wszystkiemi czterema nogami w górę, a potem skoczył w bok. Utrzymałem się na siodle, chociaż nóg nie miałem jeszcze w strzemionach. Spieszyłem się, by je prędko założyć. Zaledwie się to stało, zaczął koń wyrzucać tyłem, a gdy nic tem nie wskórał, podbiegł ku ścianie, aby mnie o nią zsunąć, ale bicz odpędził go wkrótce od niej. Nastąpiła ciężka walka z koniem, niebezpieczna wprost dla jeźdźca. Wytężyłem odrobinę mej zręczności i niedostatecznej podówczas jeszcze wprawy, oraz całą siłę nóg; to wszystko razem przyniosło mi wkońcu zwycięstwo. Gdy zsiadłem, nogi mi drżały ze zmęczenia, ale koń ociekał potem i bryzgał dużymi, ciężkimi, płatami piany. Nie mniej posłuszny był na każde poruszenie ostrogi lub lejców.

Handlarz zląkł się o konia, kazał owinąć go kocem i przeprowadzać zwolna po dziedzińcu; potem zwrócił się do mnie:

— Tego byłbym nie przypuścił, młodzieńcze; sądziłem, że będziecie leżeli po pierwszym skoku. Nie zapłacicie oczywiście nic, a jeżeli chcecie mi sprawić przyjemność, to przyjdźcie jeszcze i nauczcie dobrze tę bestyę rozumu. Nie idzie mi o jakich dziesięć dolarów, bo to nie jest koń tani, ale gdy się zrobi posłusznym, to ja na tem dużo zyskam.

— Jeśli sobie życzycie, to jestem gotów wyświadczyć wam tą grzeczność.

Henry nie odezwał się ani słowem od czasu, kiedy zsiadłem; przypatrywał mi się tylko, kiwając głową. Naraz załamał ręce i zawołał:

— Ten greenhorn, to istotnie nadzwyczajny, raczej wprost niezwykły greenhorn! Mało na śmierć nie zdusił konia, zamiast dać się rzucić na piasek. Kto was tego nauczył, sir?

— Przypadek. Swojego czasu dostał się był w moje ręce półdziki ogier z puszty węgierskiej, który nie pozwalał wsiąść na siebie nikomu. Powoli i dzięki

wytrwałości opanowałem go, ale wprost z narażeniem życia.

— Dziękuję za takie kreatury! Wolę swój stary fotel, który się nie sprzeciwia temu, że na nim siadam. Chodźmy, dostałem zawrotu głowy! Ale nie nadarmo widziałem, jak strzelacie i jeździcie na koniu. Możecie mi wierzyć.

Poszliśmy do domu: on do siebie, a ja do mego mieszkania. Nie pokazał się tego dnia, ani w dwóch następnych, a ja także nie miałem sposobności udać się do niego. Ale na trzeci dzień zajrzał do mnie po południu, wiedząc, że jestem wolny.

— Czy macie ochotę przejść się ze mną? — zapytał.

— A dokąd?

— Do pewnego gentlemana, który chciałby was poznać.

— Dlaczego mnie?

— Możecie sobie wyobrazić: nie widział jeszcze nigdy greenhorna.

— Dobrze. Pójdę i zaznajomię się z nim.

Henry miał dziś tak filuterną i przedsiębiorczą minę, jak nigdy. Jego zachowanie się wprowadziło mię na domysł, że przygotowuje jakąś niespodziankę. Przeszliśmy przez kilka ulic i wstąpili do jakiegoś biura z szerokiemi szklanemi drzwiami od ulicy. Henry wpadł tam tak prędko, że nie mogłem dokładnie przeczytać złotych liter na szybach, zdawało mi się jednak, że zobaczyłem słowa Office i surveying. Okazało się też niebawem, że się nie pomyliłem.

Siedzieli tam trzej panowie, którzy z Henrym przywitali się serdecznie, a ze mną uprzejmie i z nieukrywaną ciekawością. Na stołach leżały mapy i plany, a wśród nich rozmaite przyrządy miernicze. Byliśmy w biurze geodetycznem. Cel tych odwiedzin nie był mi wiadomy. Henry nie przyszedł ani z zamówieniem, ani po informacyę, tylko jakby na przyjacielską pogadankę, która się też bardzo szybko rozwinęła i zeszła oczywiście na znajdujące się tutaj przedmioty. Ucieszyłem się nawet tem, gdyż mogłem w niej wziąć większy udział, niż gdyby mówiono o sprawach amerykańskich, których jeszcze dobrze nie znałem.

Henry interesował się dziś widocznie bardzo miernictwem, chciał wiedzieć wszystko i tak mnie powoli wciągnął w rozmowę, że w końcu sam odpowiadałem ciągle na pytania, objaśniałem użycie różnych przyrządów; pokazywałem, jak się rysuje mapy i plany. Był ze mnie istotnie tęgi greenhorn, gdyż nie odgadłem ich zamiaru. Uderzyło mnie to dopiero, gdy powiedziałem, co wiem o różnicy zdjęć metodą współrzędnych, biegunową i dyagonalną, o pomiarach perimetrycznych i o trygonometrycznej triangulacyi, oraz zauważyłem, że ci panowie dają

rusznikarzowi tajemne znaki. Wstałem z krzesła, chcąc niejako zwrócić uwagę Henry'emu, że życzę sobie już wyjść. On się nie sprzeciwił, wobec tego wyszliśmy pożegnani jeszcze przyjaźniej, niż byliśmy przyjęci.

Gdy znaleźliśmy się w takiem oddaleniu od biura, że nie można nas już było zobaczyć, zatrzymał się Henry, położył mi rękę na ramieniu i rzekł, promieniejąc zadowoleniem:

— Sir, człowieku, młodzieńcze, greenhornie, ależ zrobiliście mi przyjemność! Jestem wprost dumny z was!

— Czemu?

— Bo nawet przewyższyliście moje polecenie i oczekiwania tych panów!

— Polecenie, oczekiwania? Nie rozumiem.

— To nie jest potrzebne. Sprawa bardzo prosta.

Twierdziliście niedawno, że znacie się na miernictwie. Aby się przekonać, czy to nie blaga, zaprowadziłem was do tych gentlemanów, a moich dobrych znajomych, aby was wymacali. Pokazało się, że wszystko macie zdrowe, i wyrąbaliście się z honorem.

— Blaga? Mr. Henry, jeśli uważacie mnie za zdolnego do takich rzeczy, to już więcej nigdy was nie odwiedzę!

— Nie dajcie się wyśmiać! Nie odbierzecie chyba staremu przyjemności oglądania was. Wspominałem już wam: z powodu podobieństwa do syna! Byliście kiedy u handlarza koni?

— Codziennie rano.

— I jeździliście na dereszu?

— Tak.

— Będzie co z tego konia?

— Tak sądzę, ale wątpię, czy ktoś, kto go kupi, da sobie z nim radę. Przyzwyczaił się do mnie i zrzuci każdego innego.

— Cieszy mnie to, bardzo mnie to cieszy; koń chce widocznie nosić tylko greenhorny. Chodźcieno przez tą boczną uliczkę. Znam tu doskonały dining house, gdzie się bardzo dobrze jada, a jeszcze lepiej pije. Musimy uczcić egzamin, któryście dziś zdali tak znakomicie.

Nie mogłem pojąć Henry'ego; zdawało się, że się odmienił. Ten samotny, powściągliwy człowiek chciał jeść w dining house! Twarz jego przybrała inny wyraz niż zwykle, głos brzmiał jaśniej i weselej niż kiedykolwiek. Wtrącił coś o

egzaminie. Zastanowiło mnie to słowo, choć tutaj mogło być bez znaczenia.

Od tego dnia odwiedzał mnie codziennie i obchodził się ze mną jak z ukochanym przyjacielem, którego się ma wkrótce utracić. Nie pozwolił jednak na to, żebym zbytecznie urósł w dumę z powodu tego wyróżnienia; miał zawsze tłumik w postaci fatalnego słowa „greenhorn".

W tym samym czasie zmienił się także względem mnie stosunek rodziny, u której pracowałem. Rodzice więcej się mną zajmowali, a dzieci okazywały więcej przywiązania. Nieraz przyłapywałem ich na tajemnych spojrzeniach na mnie, których nie mogłem zrozumieć; były jakieś serdeczne i jakby żalem wywołane.

Może w trzy tygodnie po naszej osobliwej wizycie w owem biurze, poprosiła mnie lady pewnego dnia, żebym wieczorem nie wychodził, lecz został na kolacyi z rodziną, podając za powód tę okoliczność, że przybędzie Henry, oraz dwu gentlemanów, z których jeden, niejaki Sam Hawkens, słynnym był westmanem. Jako greenhorn nie słyszałem oczywiście o tem nazwisku, ale ucieszyłem się sposobnością poznania prawdziwego i to znakomitego westmana.

Jako domowy nie czekałem, aż wybije oznaczona godzina, lecz stawiłem się o kilka minut wcześniej w dining-roomie. Ku memu zdziwieniu ujrzałem nie zwyczajne, lecz wspaniałe nakrycie, jak do uczty. Mała, pięcioletnia, Emmy była sama w pokoju i wsadziła właśnie palec do kompotu. Wyjęła go, skoro tylko wszedłem, i otarła szybko w swoją jasną fryzurkę. Gdy jej pogroziłem, przyskoczyła do mnie i szepnęła kilka słów do ucha. Aby swój błąd naprawić, zdradziła mi tajemnicę ostatnich dni, która wprost rozsadzała jej serduszko. Zdawało mi się, że ją fałszywie rozumiem. Zapytałem ją jeszcze raz, a ona powtórzyła z radością te same słowa: „Your farewellfeast".

Moja uczta pożegnalna! Czyż było to możliwe? Nie. Z pewnością dziecko tak sobie uroiło. To też uśmiechnąłem się tylko na to. Następnie usłyszałem głosy w pierwszym pokoju; nadchodzili goście, wyszedłem więc naprzeciw, by ich powitać.

Wszyscy trzej przybyli w tym samym czasie, jak się później dowiedziałem, wedle umowy. Henry przedstawił mi trochę tępo i niezgrabnie wyglądającego młodzieńca, mr. Blacka, a następnie westmana Sama Hawkensa.

Westmana! Przyznaję otwarcie, że nie wyglądałem chyba zbyt mądrze, kiedy na nim spoczęło moje oko zdziwione. Takiej postaci nie widziałem nigdy przedtem; później oczywiście poznałem jeszcze inne. Ten człowiek i tak już osobliwy potęgował jeszcze to wrażenie tem, że stał tu w wytwornym salonie zupełnie tak, jakby w puszczy, bo z okryciem na głowie i strzelbą w ręku! Zewnętrzny jego

wygląd przedstawiał się tak:

Z pod smętnie obwisłych krys pilśniowego kapelusza, którego barwy, wieku i kształtu najbystrzejszy myśliciel nie oznaczyłby bez łamania sobie głowy, wyzierał z plątaniny czarnego zarostu nos, straszliwych rozmiarów, mogący na każdym słonecznym zegarze służyć do rzucania cienia. Z powodu potężnego zarostu widać było z całej twarzy oprócz organu powonienia tylko małe rozumne oczka, nadzwyczaj ruchliwe i utkwiony we mnie z szelmowską jakąś chytrością. On przypatrywał się mnie tak samo uważnie, jak ja jemu. Później dowiedziałem się, dlaczego się tak mną zajmował.

Ta górna część spoczywała na ciele, tkwiącem aż po kolana w starej bluzie myśliwskiej z koźlej skóry, zrobionej najwidoczniej dla słuszniejszej osoby. W niej wyglądał ten mały człowiek jak dziecko, które dla zabawy ubrało się raz w surdut dziadka. Z tego, więcej niż wystarczającego okrycia, wyzierała para chudych, krzywych jak sierpy, nóg, ubranych w wystrzępione pludry, których wiek dowodnie świadczył, że człowieczek ten wyrósł z nich może przed dwoma dziesiątkami lat. Nie mniejszą uwagę zwracały na siebie jego buty indyańskie, w których mogła się zmieścić cała osoba ich właściciela.

W ręku trzymał ten słynny westman strzelbę, podobniejszą raczej do kija niż do tego rodzaju broni palnej. Byłbym się odważył dotknąć jej tylko z największą ostrożnością. Większej karykatury myśliwca z preryi trudno było sobie teraz wyobrazić. Jednak w krótkim stosunkowo czasie poznałem wartość tego oryginała.

Obejrzawszy mnie od stóp do głów, rzekł westman cienkim głosem do rusznikarza:

— Czy to jest ten młody greenhorn, o którym opowiadaliście, mr. Henry?

— Yes — potwierdził zapytany.

— Well! On mi się dosyć podoba. Spodziewam się, że Sam Hawkens także mu się spodoba, hi! hi! hi! hi!

Z tym delikatnym, dziwnym nieco śmiechem, zwrócił się do drzwi, w których ukazali się właśnie pan i pani domu. Powitali myśliwca w taki sposób, iż można było wnosić, że go już raz widzieli. Stało się to za mojemi plecyma. Potem poproszono nas do jadalni.

Poszliśmy za tem wezwaniem, przyczem Hawkens ku memu zdziwieniu nie odłożył strzelby, ani kapeluza. Dopiero gdy wyznaczono nam miejsca przy stole rzekł, wskazując na swą starą pukawkę:

— Prawdziwy westman nie spuszcza nigdy z oka swej strzelby, a tem bardziej

nie czynię tego ja z moją zacną Liddy.

Zawieszę ją koło firanek.

A więc strzelbą swoją nazywał Liddy! Później oczywiście dowiedziałem się, że owi strzelcy, uganiający po Zachodzie, obchodzą się ze swemi strzelbami jak z żywem stworzeniem i nadają im imiona. Powiesił więc strzelbę na wymienionem miejscu i chciał tosamo zrobić z kapeluszem, ale gdy go zdjął, zostały w nim wszystkie włosy z głowy. Można się było naprawdę przestraszyć widokiem jego bezskórnej, jak krew czerwonej, czaszki. Lady krzyknęła głośno, dzieci zaczęły wrzeszczeć, on jednak zwrócił się do nas celem uspokojenia:

— Nie lękajcie się, moje panie i panowie, to nic! Nosiłem własne włosy uczciwie od dzieciństwa. Żaden adwokat nie poważył się zaprzeczyć mi prawa do tego. Dopiero jeden czy dwa tuziny pawneów wpadły na mnie i zdarły mi włosy z głowy razem ze skórą. Było to dyabelnie przykre uczucie, ale przebyłem to szczęśliwie hi! hi! hi! Potem udałem się do Tekamy i kupiłem nowy skalp, jeśli się nie mylę. Nazywa się to peruką i kosztowało mnie trzy grube wiązki skórek bobrowych. Ale to nic nie szkodzi, gdyż nowa skóra jest o wiele praktyczniejsza, zwłaszcza w lecie; mogę ją zdjąć, kiedy się spocę, hi! hi! hi!

Rzucił kapelusz na strzelbę i założył perukę na głowę, poczem rozebrał się z bluzy i przewiesił ją przez krzesło. Była połatana wielokrotnie tak, że jeden kawał skóry przyszyty był na drugim, co nadało jej takiej sztywności i grubości, że strzała Indyanina nie łatwoby ją przebiła.

Teraz ujrzeliśmy jego cienkie, krzywe nogi. Na nim została tylko skórzana kamizelka, a za pasem nóż i dwa pistolety. Gdy powrócił do krzesła przy stole, spojrzał chytrze najpierw na mnie, a potem na panią domu i zapytał:

— Może mylady powie przed jedzeniem temu greenhornowi, o co chodzi, jeśli się nie mylę?

Zwrot „jeśli się nie mylę" był jego stałą nawyczką. Lady skinęła głową, zwróciła się do mnie, wskazała na młodszego gościa i rzekła:

— Nie wiecie zapewne, że mr. Black jest waszym następcą, sir!

— Moim... na...stępcą? — wybuchnąłem zmieszany.

— Ponieważ żegnamy was dzisiaj uroczyście, musieliśmy się rozglądnąć za nowym nauczycielem.

— Poże...gna...nie?

Przypuszczam, że wyglądałem w owej chwili jak uosobione przerażenie.

— Tak, pożegnanie, sir. — rzekła z uśmiechem, który mi się wydał niestosownym, gdyż ja bynajmniej nie czułem ochoty do wesołości. — Polubiliśmy was bardzo, nie chcieliśmy przeto przeszkadzać wam w tem, byście jak najprędzej doszli do szczęścia. Bardzo nam przykro, że nas opuszczacie, ale rozstajemy się z wami przejęci wielką dla was życzliwością.

Jedźcie jutro w imię Boże!

— Odjeżdżać? Jutro? Dokąd? — wykrztusiłem.

Na to uderzył mnie Sam Hawkens po ramieniu i odrzekł z uśmiechem:

— Dokąd? Na dziki Zachód ze mną. Zdaliście znakomicie egzamin, hi! hi! hi! Inni surweyorzy odjeżdżają jutro i nie mogą na was czekać. Mnie, Dicka Stone i Willa Parkera przyjęto na przewodników w drodze wzdłuż Kanadianu do Nowego Meksyku. Myślę, że nie zechcecie tutaj nadal pozostać greenhornem!

Teraz spadła mi łuska z oczu. To wszystko było z góry ułożone! Surweyor, pomiary, może dla jednej z wielkich kolei, które zamierzono budować. Co za wieść radosna! Dalej nie było o co pytać, gdyż mój zacny Henry sam przystąpił, ujął mnie za rękę i rzekł:

— Powiedziałem wam już, dlaczego was lubię. Jesteście tu u zacnych ludzi, ale stanowisko nauczyciela domowego nie jest dla was. Musicie się udać na Zachód. Zwróciłem się w tym celu do Atlantik i Pacifik Company i kazałem wybadać wasze wiadomości tak, abyście się tego nie domyślili. Zdaliście dobrze i tu macie instalacyę.

Podał mi dokument. Gdy rzuciwszy nań okiem, przeczytałem przypuszczalną wysokość wynagrodzenia, ciemno mi się w oczach zrobiło. Stary przyjaciel mówił dalej:

Pojedzie się konno, potrzebujecie więc dobrego konia. Kupiłem dla was deresza, którego ujeździliście. Bez broni nie możecie się ruszyć, dostaniecie więc to stare gun, z którego tak dobrze zawsze trafiacie. I cóż wy na to, sir, he?

Z początku milczałem, a gdy wreszcie odzyskałem mowę, próbowałem nie przyjąć darów, ale bez skutku. Ci zacni ludzie postanowili mnie uszczęśliwić, byłbym ich dotknął głęboko, gdybym się był uparł przy odmowie. Aby na razie przynajmniej zapobiec rozwlekaniu tej sprawy, usiadła mylady przy stole, a my musieliśmy pójść za jej przykładem. Podczas jedzenia nie należało podejmować tego tematu.

Po kolacyi udzielono mi potrzebnych wiadomości. Miano poprowadzić kolej z St. Luis przez Indyan-Territory, New Mexiko, Arizonę i Kalifornię do wybrzeża

Pacyfiku i postanowiono tę długą przestrzeń zbadać i sekcyami odmierzyć. Sekcya, która przypadła w udziale mnie i trzem innym surweyorom pod kierunkiem starszego inżyniera, leżała między źródliskami rzek Rio Pecos i południowego Kanadianu.

Trzej wytrawni przewodnicy: Sam Hawkens, Dick Stone i Will Parker, mieli nam towarzyszyć aż na miejsce, gdzie nas oczekiwała gromada dzielnych westmanów, dodanych nam dla bezpieczeństwa. Oczywiście byliśmy także pewni pomocy wszystkich załóg po fortach. Aby mię zaskoczyć niespodzianką, powiedziano mi o tem dopiero dzisiaj, co prawda, trochę zapóźno. Uspokoiła mnie jednakże wiadomość, że postarano się o wszystko, co było konieczne do podróży, aż do najdrobniejszych szczegółów. Nie pozostawało nic innego, jak przedstawić się kolegom, którzy czekali na mnie w mieszkaniu starszego inżyniera. Poszedłem do nich w towarzystwie Henrye'go i Sama Hawkensa. Przyjęli mnie nader serdecznie, nie biorąc za złe spóźnienia, wiedzieli bowiem, że przyczyną tego była właśnie ta niespodzianka.

Pożegnawszy się nazajutrz z rodziną, u której dotąd byłem zajęty, udałem się do Henry'ego. Zacząłem mu dziękować, ale on potrząsnąwszy mnie silnie za ręce, przerwał mi temi słowy:

— Zamknijcie dziób, sir! Wysyłam was tylko dlatego, żeby moje stare gun także mogło przemówić! Gdy wrócicie, odszukacie mnie i opowiecie, coście przeżyli i czego doświadczyli. Wówczas dopiero się pokaże, czy jesteście jeszcze tem, czem dzisiaj, mianowicie greenhornem, jakiego szukać pod słońcem.

To rzekłszy, wysunął mnie za drzwi. Obróciłem się jeszcze raz i zobaczyłem łzy w jego oczach.

ROZDZIAŁ II.

Kleki-petra.

Zbliżał się koniec wspaniałej, północno-amerykańskiej jesieni. Od trzech miesięcy byliśmy przy robocie, ale nie wypełniliśmy jeszcze naszego zadania, gdy

tymczasem inne sekcye wróciły już były do domu. Złożyły się na to dwa powody.

Pierwszy ten, że przeznaczono nam bardzo trudną okolicę do opracowania. Kolej miała iść przez preryę wzdłuż południowego Kanadianu; kierunek był więc wskazany aż do źródeł tej rzeki; od Nowego Meksyku zaś wyznaczało go położenie dolin i wąwozów. Ale nasza sekcya leżała pomiędzy Kanadianem a Nowym Meksykiem, myśmy mieli dopiero znaleźć odpowiedni kierunek. Do tego potrzeba było jazd, pożerających wiele czasu, uciążliwych wędrówek i wielu, bardzo wielu pomiarów porównawczych, zanim mogliśmy przystąpić do właściwej roboty. Utrudniało nam pracę jeszcze i to, że znajdowaliśmy się w okolicy niebezpiecznej. Tamtejsi bowiem Indyanie Kiowa, Komancze i Apacze nie chcieli nic wiedzieć o budowie kolei przez kraje, które oni uznawali za swoją własność. Musieliśmy się bardzo strzec i ciągle być na pogotowiu, przez co oczywiście robota nasza opóźniała się znacznie.

Ze względu na tych Indyan nie staraliśmy się o środki żywności za pomocą polowania, ponieważ oni byliby przez to łatwo odkryli nasze ślady. Sprowadzaliśmy wszystko, czego nam było potrzeba, z Santa Fè na wozach, zaprzężonych wołami. Niestety ten dowóz także był bardzo niepewny, kilkakrotnie nie mogliśmy postąpić naprzód w pomiarach, ponieważ wozy nie przybywały na czas.

Druga przyczyna tkwiła w składzie naszego towarzystwa. Wspomniałem, że w St. Louis przywitał mnie starszy inżynier i drudzy surveyorzy bardzo przychylnie. To przyjęcie, jakiego doznałem, pozwalało się spodziewać dobrego i skutecznego współdziałania. Jednak pod tym względem spotkało mię przykre rozczarowanie.

Moi koledzy, prawdziwi Jankesi, widzieli we mnie niedoświadczonego greenhorna. Chcieli zarobić pieniądze, nie pytając wiele o to, czy wypełnią sumiennie swoje zadanie. Ja zawadzałem im przy tem, to też niebawem zniknęła okazywana mi przez nich z początku przychylność. Nie dałem się tem zbić z tropu i robiłem, co do mnie należało. Wkrótce też poznałem, że niezbyt duży zasób wiedzy posiadali. Zarzucali mnie najtrudniejszą robotę, a sami szukali sposobności do uprzyjemnienia sobie życia. Nie sprzeciwiałem się temu obarczaniu mnie pracą, wierząc w to, że im więcej się musi dokonać, tem więcej nabiera się sił i doświadczenia.

Starszy inżynier, mr. Bankroft, był z nich najuczeńszy, ale pokazało się niestety, że lubił wódkę. Przywieziono z Santa Fè kilka baryłek tego zgubnego napoju, a od tego czasu zajmował się on więcej brandym niż przyrządami

mierniczymi. Nieraz i pół dnia przeleżał na ziemi zupełnie pijany. Trzej surveyorzy, Riggs, Marcy i Wheeler musieli jak i ja płacić za gorzałę, aby więc nie ponieść straty, pili z nim na wyścigi. Można sobie wyobrazić, że i ci dżentlmeni nie zawsze byli w najlepszem usposobieniu. Ponieważ ja nie kosztowałem nawet wódki, przeto obowiązek pracy spoczywał oczywiście tylko na mnie, a oni przeplatali sobie spokojnie pijatykę spaniem. Wheeler był dla mnie jeszcze najmilszym z nich, ponieważ miał na tyle rozumu, iż poznał, że ja męczyłem się za nich, wcale nie będąc do tego zobowiązanym. Że praca nasza na tem cierpiała, tego oczywiście nie trzeba osobno podkreślać.

Reszta towarzystwa pozostawiała również wiele do życzenia. Przybywszy na sekcyę, zastaliśmy na niej dwunastu „westmanów". Jako nowicyusz szanowałem ich z początku ogromnie, lecz wnet przekonałem się, że mam do czynienia z ludźmi, o bardzo nizkim poziomie moralnym.

Byli oni nam dodani do obrony i pomocy. Szczęściem nie zaszło nic takiego przez całe trzy miesiące, coby mnie spowodowało do uciekania się pod ich obronę, a co do pomocy, to można było śmiało powiedzieć, że to właściwie zeszło się dwunastu największych próżniaków w Stanach Zjednoczonych na schadzkę.

Jak smutnie musiała w takich warunkach wyglądać karność!

Bankroft, komendant z tytułu i polecenia, zachowywał się jak taki, ale nikt go nie słuchał. Wyśmiewano jego rozkazy, a

on klął wprost strasznie, a wkońcu szedł do baryłki, aby wódką wynagrodzić sobie wysiłek. Riggs, Marcy i Wheeler postępowali nie o wiele inaczej. Miałem więc powód do tego, by im ukrócić cugli. Uczyniłem też to, ale tak, żeby tego nie zauważyli. Takiego młodego i niedoświadczonego człowieka jak mnie, nie mogli darzyć pełnym szacunkiem. Gdybym był kiedy nieoględnio przemówił rozkazująco, byłbym się tylko naraził na śmiech powszechny. Musiałem więc postępować cicho i ostrożnie, jak rozumna żona, która umie tak kierować opornym mężem, że on niema o tem pojęcia.

Ci napół dzicy, nieokiełznani, ludzie nazywali mnie po dziesięć razy dziennie: greenhorn, a mimo to do mnie się stosowali bezwiednie. Przytem zdawało im się zawsze, że właściwie tylko według własnej woli wszystko czynią.

Pod tym względem ogromnie byli mi pomocni Sam Hawkens i jego dwaj towarzysze, Dick Stone i Will Parker. Wszyscy trzej byli na wskróś uczciwi, rozumni i doświadczeni westmani i z tego daleko i szeroko sławni. Trzymali się przeważnie mnie i odsuwali się od reszty towarzyszy, ale tak oględnie, że to

tamtych nie mogło obrazić. Szczególnie Sam Hawkens umiał pomimo swych śmiesznych właściwości zdobyć u opornego towarzystwa znaczne poważanie. Cokolwiek zaś przeprowadzał swoim na poły poważnym, a na poły zabawnym sposobem, to zawsze po to, aby mnie dopomóc do osiągnięcia moich zamiarów.

Wytworzył się między nami w cichości stosunek, który dałby się najlepiej porównać ze stosunkiem suwerena do lennika. Hawkens wziął mnie w opiekę, wcale się nie pytając o to, czy się z tem zgadzam. Ja byłem greenhorn, a on wytrawnym westmanem, którego słowa i czyny miały być dla mnie czemś nieomylnem. W wolnym czasie i przy sposobności udzielał mi teoretycznych i praktycznych lekcyi ze wszystkiego, co należy wiedzieć i czemu podołać na dzikim Zachodzie. Jeżeli dziś zgodnie z prawdą powiedzieć muszę, że wyższą szkołę odbyłem dopiero później u boku Winnetou, to słuszna i sprawiedliwa rzecz przyznać, że Sam Hawkens dał mi nauki elementarne. Sporządził mi nawet własnoręcznie lasso i pozwalał mi ćwiczyć się w rzucaniu na swojej własnej niewielkiej osobie i na swoim koniu. Gdy potem doprowadziłem do tego, że pentla chwytała już cel niechybnie za każdym rzutem, ucieszył się serdecznie i zawołał radośnie:

— To pięknie, mój młody sir; to dobrze! Ale nie bądźcie jeszcze zbyt dumni z pochwały! Bakałarz musi nawet najgłupszego ucznia pochwalić od czasu do czasu, jeżeli ten ma zrobić jakikolwiek postęp. Byłem już nauczycielem niejednego westmana, a wszyscy uczyli się o wiele łatwiej i znacznie prędzej mnie pojmowali niż wy. Jeżeli jednak nadal tak się będziecie ćwiczyli, to może po sześciu lub ośmiu latach nikt nie nazwie już was greenhornem. Aż do tego czasu pocieszajcie się tą starą maksymą, że głupi doprowadza nieraz do tych samych wyników, co mądry, a nawet większych, jeśli się nie mylę!

Wygłaszał te słowa pozornie z największą powagą, a ja taksamo je przyjmowałem, ałe wiedziałem, że on sądził całkiem inaczej.

Praktyczne jego pouczenia były mi najbardziej na rękę, gdyż praca zawodowa zabierała mi tyle czasu, że, gdyby nie Hawkens, nie byłbym go znalazł na ćwiczenie się w tych rzeczach, które musi znać myśliwiec na preryi. Zresztą trzymaliśmy w tajemnicy te ćwiczenia i urządzaliśmy je tak daleko od obozu, że nie można nas było podglądnąć. Sam Hawkens tego żądał, a gdy razu pewnego zapytałem o przyczynę, odpowiedział:

— To ze względu na was, sir! Tak mało macie zręczności w tych rzeczach, że musiałbym się wstydzić z głębi waszej duszy, gdyby nas te draby zobaczyły. Teraz

już wiecie, hi! hi! hi!

Weźcie to sobie do serca!

Skutkiem tego całe towarzystwo nie liczyło na mnie wcale na wypadek konieczności użycia broni lub zręczności ciała. Ale to nie martwiło mnie bynajmniej.

Mimo wszystkie wspomniane poprzednio przeszkody doszliśmy przecież w końcu tak daleko, że za tydzień mogliśmy już połączyć się z sekcyą następną. Aby tę wiadomość tam zanieść, należało pchnąć posłańca. Bancroft oświadczył, że sam pojedzie pod przewodnictwem jednego westmana. Nie czyniło się tego poraz pierwszy, gdyż ciągle musieliśmy się porozumiewać tak z sekcyą, pracującą za nami jak i przed nami. Stąd wiedziałem, że kierujący robotą przed nami starszy inżynier był nadzwyczaj tęgim człowiekiem.

Pewnej niedzieli rano zamierzał Bancroft wyruszyć. Uważał za stosowne napić się trochę na pożegnanie, w czem wszyscy mieli wziąć udział. Mnie tylko nie zaproszono, a Sam Hawkens, Dick Stone i Will Parker nie uwzględnili nadesłanego im zaproszenia. Popijanie, co zresztą przewidziałem, przeciągnęło się tak, że ustało dopiero wtedy, kiedy Bancroft nawet już paplać nie mógł. Towarzysze zabawy dotrzymywali mu kroku i upili się nie mniej od niego. O zamierzonej jeździe nie było teraz mowy. Hultaje zrobili to, co czynili zawsze w tym stanie: wleźli w zarośla, aby się wyspać.

Cóż było począć? Posłaniec musiał odejść, tymczasem należało się spodziewać, że pijani będą spać do późna po południu. Wypadało wobec tego, żebym ja pojechał. Ale czy mogłem? Byłem pewien, że aż do mego powrotu przez cztery dni nikt nie weźmie się do pracy. Gdy się nad tem z Samem Hawkensem naradzadzałem, wskazał on ręką na zachód i rzekł:

— Nie będzie potrzeba jechać, sir. Możecie dać wiadomość tym dwom, którzy o to się zbliżają.

Spojrzawszy w tym kierunku, zobaczyłem dwu jeźdźców.

Byli to biali, a w jednym z nich poznałem starego scouta, który już kilka razy był u nas z wieściami od następnej sekcyi. Obok niego jechał młodszy mężczyzna, ubrany nie tak jak zachodniokrajowiec. Nie widziałem go jeszcze nigdy. Stanąwszy przed nami, zapytał nieznajomy mnie o nazwisko. Skoro mu je wymieniłem, obrzucił mnie przyjaźnie badawczem spojrzeniem i rzekł:

— A więc to pan jest tym młodym gentlemanem, który robi tu wszystko, gdy tymczasem drudzy leniuchują. Będziecie pewnie wiedzieli, kim jestem, skoro

powiem wam moje nazwisko. Jestem White.

Był to kierownik najbliższej zachodniej sekcyi, do którego mieliśmy wysłać wiadomość. Jego przybycie spowodowała z pewnością jakaś przyczyna. Zsiadł z konia, podał mi rękę i powiódł wzrokiem po naszym obozie. Ujrzawszy śpiących w zaroślach, a obok baryłkę z wódki, uśmiechnął się domyślnie, ale nie przyjaźnie.

— Chyba pijani? — spytał.

Skinąłem głową.

— Wszyscy?

— Tak. Mr. Bancroft chciał udać się do was i urządzono małe strzemienne. Zbudzę go i...

— Stać! — przerwał. — Mogę z wami pomówić tak, żeby oni tego nie słyszeli. Zejdźmy na bok i nie budźmy ich! Kto są ci trzej ludzie, którzy stali z wami?

— To Sam Hawkens, Dick Stone i Will Parker, nasi, trzej godni zaufania, przewodnicy.

— Ach, Hawkens, ten mały osobliwy myśliwiec. To dzielny chłop, słyszałem o nim. Niechaj wszyscy trzej pójdą z nami.

Uczyniłem zadość jego wezwaniu, a następnie spytałem:

— Przybywacie sami, mr. White. Czy sprowadza was coś ważnego?

— Bynajmniej. Chciałem się tylko przekonać, czy wszystko

tu w porządku i właśnie z wami pomówić. Myśmy już skończyli naszą sekcyę, a wy waszej jeszcze nie?

— Winny temu trudności terenu, zamierzam...

— Wiem, wiem! — przerwał mi. — Wiem niestety o wszystkiem. Gdybyście wy nie natężali się w trójnasób, byłby dziś Bancroft tam, gdzie rozpoczął.

— Tak nie jest, mr. White. Nie wiem wprawdzie, skąd macie to błędne mniemanie, że tylko ja byłem pilny, ale moim obowiązkiem...

— Cicho, sir, cicho! Chodzili posłańcy od nas do was i z powrotem, ja ich wybadałem tak, że się nie spostrzegli. To bardzo szlachetnie z waszej strony, że bierzecie w obronę tych pijaków, ale ja chciałbym prawdę usłyszeć. Ponieważ zaś widzę, że jesteście zbyt skromni, aby mi ją powiedzieć, przeto spytam nie was, lecz Sama Hawkensa. Usiądźmy!

Poszliśmy do namiotu. On usiadł przed nim na trawie i skinął na nas, żebyśmy zrobili to samo. Skoro uczyniliśmy zadość temu wezwaniu, zaczął wypytywać Hawkensa, Stone'a i Parkera, którzy przedstawili mu całą prawdę, nie dodawszy

ani słowa. Mimo to wtrąciłem tu i ówdzie jakieś słówko, aby złagodzić te słuszne zarzuty i bronić kolegów, ale nie wywarło to na Whitem pożądanego skutku. Przeciwnie, prosił mnie on kilkakrotnie, żebym się nie trudził daremnie.

Gdy się już o wszystkiem dowiedział, zażądał, żebym mu pokazał nasze rysunki i mój dziennik. Mogłem nie spełnić tego życzenia, nie uczyniłem tego jednak z obawy, żeby go nie obrazić. Czułem zresztą, że względem mnie żywi dobre zamiary. Przeglądnął wszystko uważnie, a kiedy mnie o to spytał, nie zaprzeczyłem, że sam byłem rysownikiem i autorem, gdyż nikt z tamtych ani kreski nie zrobił, nie napisał ani jednej litery.

— Ale tego z dziennika nie widać — rzekł — ile pracy przypada na każdego z osobna. Posunęliście się za daleko w swem chwalebnem koleżeństwie.

Na to zauważył chytrze Sam Hawkens:

— Sięgnijcie mu do kieszeni, mr. White! Tam tkwi coś blaszanego, w czem dawniej były sardynki. Sardynek teraz już niema, ale jest zato coś papierowego. To prawdopodobnie dziennik prywatny, jeśli się nie mylę. Tam wszystko spisał on zapewne inaczej, niż tu w urzędowem sprawozdaniu, gdzie zatuszowuje lenistwo kolegów.

Sam Hawkens wiedział, że prowadziłem prywatne zapiski, oraz, że nosiłem je w wypróżnionej puszce od sardynek. Było mi przykro, że mię zdradził. White poprosił, żebym mu je pokazał. Cóż miałem zrobić? Czy koledzy moi zasłużyli na to, żebym się dla nich męczył bez żadnej wdzięczności z ich strony i żebym to jeszcze zatajał? Szkodzić im nie chciałem w żaden sposób, ale nie mogłem być niegrzecznym wobec White'a. Dlatego podałem mu dziennik, ale pod warunkiem, że nikomu o tem nie wspomni. Przeczytał, zwrócił mi go i rzekł:

— Powinienbym właściwie zabrać z sobą te kartki i przedłożyć je, gdzie należy. Wasi koledzy to nicponie, którzy nie są warci ani jednego dolara. Wam powinni zapłacić w trójnasób. Zostawiam jednak wam swobodę. Zwracam tylko na to uwagę, że dobrze zrobicie, jeśli zachowacie te prywatne zapiski, gdyż one mogą wam się później bardzo przydać. A teraz pobudźmy tych niezwykłych gentlemanów.

Wstał i narobił hałasu. „Gentlemani" powyłazili z zarośli z błędnemi oczyma i wykrzywionemi twarzami. Bancroft gotów był uciec się do grubiaństw z tego powodu, że go zbudzono, okazał się jednak uprzejmym, gdy usłyszał, że przybył mr. White z najbliższej sekcyi. Oni obaj widzieli się po raz pierwszy. Bancroft podał mu przedewszystkiem kieliszek wódki, ale źle się z tem wybrał. White

skorzystał z tej grzeczności w ten sposób, że skarcił go wprost strasznie. Zdumiony Bancroft milczał przez chwilę, ale potem rzucił się na White'a, pochwycił go za ramię i krzyknął:

— Panie, wasze nazwisko?

— White.

— Czem jesteście?

— Starszym inżynierem sąsiedniej sekcyi.

— Czy tam może wam kto rozkazywać?

— Sądzę, że nie.

— A więc! Ja jestem Bancroft, starszy inżynier tutejszej sekcyi i nikt nie ma prawa mi tu rozkazywać, a już najmniej wy, mr. White!

— To słuszne, że jesteśmy sobie równi — rzekł napadnięty spokojnie. Żaden z nas nie jest obowiązany przyjmować od drugiego rozkazów. Ale skoro jeden widzi, że drugi szkodzi przedsiębiorstwu, przy którem pracujemy obydwaj, to jest jego powinnością zwrócić uwagę na jego błędy. Wy szukacie, jak się zdaje, zadania swojego życia w baryłce brandy. Wszyscy szesnastu, których tu zastałem, przyjechawszy przed dwoma godzinami, byli pijani.

— Przed dwoma godzinami — przerwał mu Bancroft. —

Tak długo tu już jesteście?

— Oczywiście. Przypatrzyłem się już zdjęciom i dowiedziałem się, kto je robił. Wy żyliście sobie jak w raju, tymczasem jeden i to najmłodszy z was dźwigał cały ogrom pracy!

Na to zwrócił się Bancroft do mnie i syknął:

— To wy powiedzieliście o tem, nikt inny! Nie wypierajcie się, nikczemny kłamco i podstępny zdrajco!

— Nie — odparł mr. White. — Wasz młody kolega postąpił jak gentleman; wyrażał się o was tylko dobrze i brał was w obronę. Radzę wam przeto prosić go o przebaczenie za to, że nazwaliście go kłamcą i zdrajcą.

— Prosić o przebaczenie? Ani myślę! — zaśmiał się Bancroft szyderczo. — Ten greenhorn nie umie odróżnić trójkąta od czworoboku i wyobraża sobie, że jest surveyorem. Zostaliśmy w pracach naszych w tyle, ponieważ on wszystko robił przewrotnie; a skoro teraz, zamiast to uznać, oskarża nas przed wami i oczernia...

Nie domówił. Miesiące całe cierpiałem i pozwalałem tym ludziom myśleć o mnie,

jak chcieli. Teraz nadeszła chwila pokazania im, jak się pomylili w ocenie mojej osoby. Pochwyciłem Bancrofta za ramię i ścisnąłem tak silnie, że aż krzyknął z bólu.

— Mr. Bancroft — rzekłem — wypiliście za dużo sznapsa i nie odespaliście jeszcze tego. Zapewne jesteście jeszcze pijani, przyjmuję więc, żeście tego nie powiedzieli.

— Ja pijany? Zwaryowaliście! — wrzasnął.

— Tak, pijany! Gdybym był pewny, że jesteście trzeźwi i że pozwoliliście sobie z namysłem rzucić mi te obelgi, to cisnąłbym wami o ziemię, jak pierwszym lepszym hultajem. Zrozumiano? Czy macie teraz odwagę zaprzeczyć temu, jakobyście się upili?

Trzymałem jeszcze w ręku jego ramię. Nie przypuszczał pewnie nigdy, że będzie musiał bać się mnie kiedykolwiek, ale teraz nastąpiło to naprawdę; widać to było po nim. Nie chciał się przyznać, że jest jeszcze pijany, a zarazem brakło mu odwagi do podtrzymania oskarżeń. Zwrócił się więc do dowódcy dwunastu westmanów, dodanych nam do pomocy i obrony:

— Mr. Rattlerze, czy ścierpicie, żeby ten człowiek porywał się na mnie? Czy nie na to tutaj jesteście, żebyście nas bronili?

Ten Rattler, wysoki i tęgo zbudowany, posiadał, jak się zdawało, siłę trzech, a może czterech ludzi. Osobnik ordynarny, pił ustawicznie razem z Bancroftem. Nie znosił mnie i z radością skorzystał ze sposobności, aby dać ujście złości, jaką czuł do mnie. Przyskoczył prędko, pochwycił mnie za ramię, jak ja Bancrofta i odpowiedział:

— Nie, na to ja nie pozwolę, mr. Bancrofcie. To dziecko nie wydeptało jeszcze dziur w pierwszych pończochach, a ośmiela się już grozić dorosłym mężczyznom, gnębić ich i oczerniać. Odejm rękę od mr. Bancrofta, smarkaczu, bo ci pokażę, jaki z ciebie greenhorn!

Z takiem to wezwaniem zwrócił się on do mnie. Dobrze się stało, że on to zrobił, gdyż silniejszym był przeciwnikiem od Bancrofta. Nie wątpiłem ani na chwilę, że, jeśli jego nauczę moresu, to to silniej podziała, niżeli gdybym tamtemu dowiódł, że nie jestem tchórzem. Wyrwałem mu ramię z ręki i odrzekłem:

— Ja smarkacz, greenhorn? Odwołajcie to natychmiast, mr. Rattlerze, bo grzmotnę wami o ziemię!

— Wy mną? — zaśmiał się. — Taki greenhorn jest naprawdę na tyle głupi, że...

Nie skończył mówić, gdyż tak uderzyłem go pięścią w skroń, że jak wór runął sztywnie na ziemię i nie ruszył się więcej. Kilka krótkich chwil trwała głęboka cisza, poczem zawołał jeden z towarzyszy Rattlera:

— All devills! Czy będziemy spokojnie patrzeć, jak taki przybłęda bije naszego dowódcę? Dalej na tego draba!

Poskoczył ku mnie. Wtem ja kopnąłem go w brzuch. To najpewniejszy środek, aby przeciwnika przewrócić, trzeba tylko stać mocno na drugiej nodze. Hultaj padł, a w tej samej chwili ja ukląkłem na nim i uderzyłem go w skroń tak, że go ogłuszyłem. Potem wstałem szybko, wyrwałem oba rewolwery z za pasa i zawołałem:

— Kto jeszcze? Niech przyjdzie!

Cała horda Rattlera miała wielką ochotę pomścić na mnie klęskę towarzyszy. Jeden spozierał na drugiego, lecz ja przestrzegłem:

— Posłuchajcie mnie, ludzie! Kto krokiem ku mnie postąpi, lub za broń chwyci, dostanie kulą w łeb! Myślcie sobie o greenhornach, co się wam podoba, ale ja wam dowiodę, że jeden taki, jak ja, da sobie radę z dwunastu takimi westmanami, jak wy!

Wtem stanął przy mnie Sam Hawkens i rzekł:

— A ja, Sam Hawkens, także was ostrzegam, jeśli się nie mylę. Ten młody greenhorn jest pod moją szczególną opieką. Ktoby się poważył włos mu zerwać z głowy, temu natychmiast wystrzelę dziurę w postaci. Ja nie żartuję. Zapamiętajcie to sobie! Hi-hi-hi!

Dick Stone i Will Parker uważali także za stosowne stanąć obok mnie, aby zaznaczyć, że są tego samego zdania, co Hawkens. To nastraszyło przeciwników. Odwrócili się odemnie, mrucząc przekleństwa pod nosem i zajęli się skwapliwie obydwoma leżącymi na ziemi, aby ich przywieść do przytomności.

Bancroft uznał za najrozumniejsze pójść do namiotu i tam się ukryć. White patrzył na mnie szerokiemi od zdziwienia oczyma. Po tem zajściu potrząsnął głową i rzekł tonem niekłamanego zdumienia:

— Ależ, sir, to niebezpieczne! Nie chciałbym dostać się wam pomiędzy palce. Należałoby was naprawdę nazwać Shatterhand za to, że wielkiego i silnego jak dąb człowieka rozciągnęliście na ziemi jednem uderzeniem pięści Nie widziałem jeszcze nic takiego.

Ten projekt podobał się widocznie Samowi Hawkensowi, gdyż zaczął prychać

wesoło:

— Shatterhand, hi-hi-hi! Grennhorn i już wojenny przydomek — i to jaki! Ilekroć Sam Hawkens rzuci okiem na greenhorna, tylekroć zawsze zrobi się coś z tego. Shatterhand, Old Shatterhand! Całkiem tak, jak Old Firehand, także westman i silny, jak niedźwiedź. Cóż wy na to miano Dicku i Willu?

Odpowiedzi ich już nie dosłyszałem, gdyż musiałem uwagę poświęcić Whitemu, który ująwszy mnie za rękę, odprowadził na bok i odezwał się temi słowy:

— Podobacie mi się nadzwyczajnie, sir! Czy nie mielibyście ochoty pójść ze mną?

— Trudno wchodzić w to, czy mam ochotę, czy nie mam, mr. White. Ja nie mogę.

— Czemu?

— Bo mnie tutaj trzyma obowiązek.

— Pshaw! Ja biorę to na siebie.

— To mi się na nic nie przyda, jeślibym ja sam nie mógł się usprawiedliwić. Przysłano mnie tutaj do pomocy przy pomiarze tej sekcyi, nie wolno mi się stąd ruszyć, ponieważ jeszcze nie jesteśmy gotowi.

— Bancroft dokończy z tymi trzema.

— Tak, ale kiedy i jak! Nie, ja muszę zostać.

— Zważcie, że dla was to niebezpieczne!

— Jakto?

— Pytacie jeszcze? Widzicie chyba, że porobiliście sobie z tych ludzi wrogów zakamieniałych.

— Nie. Przecież im nic nie uczyniłem.

— To prawda, albo raczej było prawdą dotychczas. Ponieważ jednak powaliliście dwu z nich na ziemię, to między wami stosunki zerwane.

— Być może, ale ja się nie boję. Właśnie przez te dwa uderzenia zdobyłem sobie poważanie. Nie rychło porwie się kto znów na mnie. Zresztą przy mnie stoją Hawkens, Stone i Parker.

— Jak chcecie. Wolna wola to niebo dla człowieka, ale często i piekło. Bardzobyście mnie się przydali. Ale przynajmniej kawałek drogi mnie odprowadzicie?

— Kiedy?

— Teraz.

— Czy chcecie zaraz wracać, mr. White?

— Tak. Zastałem tu takie stosunki, że nie mogę bawić tu dłużej, niż potrzeba.

— Ależ coś zjeść musicie, nim wyruszycie w drogę, sir?

— Zbyteczne. Mamy w torbach siodłowych wszystko, niezbędne do życia.

— Nie pożegnacie się z Bancroftem?

— Nie.

— Przybyliście, aby z nim o interesach pomówić!

— Zapewne, ale mogę to wam także powiedzieć.

Przekonałem się nawet, że wy lepiej się rozumiecie na rzeczy, niż on. Ale przedewszystkiem chciałbym was ostrzec przed czerwonoskórymi.

— Czy widzieliście ich?

— Nie bezpośrednio, lecz ślady. W tym czasie ciągną na południe dzikie mustangi i bawoły, a czerwonoskórcy opuszczają wsi swoje, aby na nie dla mięsa polować. Przed Keiowehami niema obawy, gdyż pogodziliśmy się z nimi co do kolei, ale Komancze i Apacze nic o tem nie wiedzą i dlatego nie możemy się im pokazywać. Ja skończyłem prace około mojej sekcyi i opuszczam te strony. Mnie więc nic nie grozi. Ale dla was staje się ten teren codzień niebezpieczniejszym. Starajcie się rychło doprowadzić prace do końca. Osiodłajcie teraz konia i spytajcie, czy Sam Hawkens ma ochotę udać się z nami.

Oczywiście miał Sam ochotę.

Chciałem tego dnia właściwie pracować, ale była to niedziela, kiedy każdy chrześcijanin, nawet w puszczy, powinien się skupić i zająć swymi duchowymi obowiązkami. Zresztą zasłużyłem na odpoczynek. Poszedłem więc do namiotu Bancrofta i oświadczyłem, że dziś pracować nie będę, lecz z Samem Hawkensem odprowadzę White'a.

— Idźcie do dyabła i każcie mu sobie karki pokręcić! — odrzekł, a ja nie przeczuwałem, że to ordynarne życzenie miało się spełnić niebawem.

Od kilku dni już nie wyjeżdżałem nigdzie, to też deresz mój zarżał radośnie, gdy go zacząłem siodłać. Okazał się koniem wyśmienitym, cieszyłem się więc, że będę mógł oznajmić to memu staremu „gunsmithowi" Henry'emu.

Jadąc w blasku pięknego jesiennego poranku, rozmawialiśmy o zamierzonych wielkich przedsiębiorstwach kolejowych i o wszystkiem, co nam leżało na sercu. White dał mi kilka wskazówek, odnoszących się do połączenia z jego sekcyą, a

około południa zatrzymaliśmy się nad strumieniem, żeby się skromnie posilić. Potem White pojechał dalej ze scoutem, a my poleżeliśmy jeszcze przez chwilę, roztrząsając zagadnienia, tyczące się wiary.

Hawkens był właściwie bogobojnym człowiekiem, chociaż wobec drugich tego nie okazywał.

Na krótko przed wyruszeniem w drogę powrotną pochyliłem się nad wodą, aby ręką zaczerpnąć. Czysta była jak kryształ, ujrzałem więc na dnie odciski, jak mi się zdawało, nogi ludzkiej. Oczywiście zwróciłem na to uwagę Sama. On przypatrzył się uważnie, poczem ozwał się:

— White miał zupełną słuszność, ostrzegając nas przed Indyanami.

— Sądzicie, Samie, że to ślad Indyanina?

— Tak, indyańskiego mokassyna. Jakież wrażenie robi to na was, sir?

— Żadnego.

— Fi, musicie przecież coś czuć i myśleć?

— Cóż innego jak to, że tu był czerwonoskóry?

— Więc nie boicie się wcale?

— Ani mi się śni!

— Przynajmniej lekki niepokój?

— Także nie.

— Tak, wy nie znacie czerwonoskórych!

— Ale spodziewam się, że ich poznam. Będą chyba tacy sami, jak inni ludzie, wrogami swoich wrogów i przyjaciółmi swoich przyjaciół. Ponieważ zaś nie zamierzam występować przeciwko nim wrogo, więc przypuszczam, że nie potrzebuję się ich obawiać.

— Jesteście greenhorn i wiecznie nim zostaniecie. Postanawiajcie postępować z czerwonymi, jak chcecie, wynik będzie zawsze inny, całkiem inny. Wypadki nie zależą przecież od waszej woli. Doświadczycie tego i życzę wam, żeby to nie kosztowało was strzępu własnego ciała, lub nawet życia.

— Kiedy ten Indsman mógł być tutaj?

— Muiej więcej przed dwoma dniami. Widzielibyśmy tu na trawie jego ślady, gdyby się tymczasem nie była podniosła.

— Wyszedł chyba na zwiady?

— Tak, na zwiady za mięsem bawolem. Teraz panuje pokój między tutejszymi

szczepami, więc nie mógł to być szpieg wojenny. Był nadzwyczaj nieostrożny, a więc prawdopodobnie młody.

— Jakto?

— Wytrawny wojownik nie wstępuje do takiej wody jak ta, gdzie ślad zostaje na płytkim gruncie, długo jeszcze widoczny. Takiego błędu dopuszcza się tylko głupiec, który jest zupełnie takim samym czerwonym greenhornem, jako wy białym, hi! hi! hi! A białe greenhorny bywają jeszcze głupsze od czerwonych. Zapamiętajcie to sobie, sir!

Zaczął sam do siebie z cicha parskać śmiechem i wstał, by dosiąść konia. Poczciwy Sam lubiał okazywać mi przywiązanie swoje w ten sposób, że mnie głupim nazywał.

Mogliśmy wrócić tą samą drogą, którą przybyliśmy tutaj, ale zadaniem mojem jako suryeyora było zbadać naszą przestrzeń, dlatego skręciliśmy trochę i pojechaliśmy potem po równoległej linii.

W ten sposób dostaliśmy się na dość szeroką dolinę, porosłą bujną trawą. Zbocza, zamykające ją z jednej i z drugiej strony, pokrywały dołem zarośla, a górą las. Długość doliny wynosiła może z pół godziny drogi, tak prostej, że można było widzieć ją od początku do końca. Zaledwie kilka kroków zrobiliśmy w tem miłem zagłębieniu, kiedy naraz Sam wstrzymał konia i popatrzył uważnie przed siebie.

— Heigh-day! — krzyknął. — Otóż są! Naprawdę te najpierwsze!

— Co? — zapytałem.

Ujrzałem daleko przed sobą ośmnaście, a może dwadzieścia zwolna poruszających się punktów.

— Co? — powtórzył, kręcąc się żywo na siodle. — Wy nie wstydzicie się tak pytać? Ach prawda, wszak wy greenhorn i to potężny! Takie osobniki jak wy nie widzą często, choć oczy mają otwarte. Bądźcie, najszanowniejszy sir, łaskawi zgadnąć, co to za istoty kręcą się tam, gdzie spoczywają wasze piękne oczy!

— Zgadnąć? Hm! Wziąłbym je za sarny, gdybym nie wiedział, że ten rodzaj zwierzyny żyje w gromadkach, liczących najwyżej dziesięć sztuk. Biorąc także na uwagę odległość, trzeba powiedzieć, że owe zwierzęta, chociaż wydają się stąd tak małemi, muszą być znacznie większe od saren.

— Sarny, hi! hi! hi! — śmiał się. — Sarny tu w górze, nad źródłami Kanadianu! To wam się znakomicie udało! Ale to, co potem powiedzieliście, było nieźle

pomyślane. Tak to większe zwierzęta, o wiele większe od saren.

— Ach, kochany Samie! To chyba nie bawoły?

— Oczywiście, że bawoły. Bizony, całkiem prawdziwe bizony, znajdujące się w drodze, pierwsze, które widzę w tym roku. A teraz przyznać musicie, że mr. White miał słuszność: bizony i Indyanie. Z Indyan napotkaliśmy tylko ślady, ale bawoły mamy przed sobą w całej okazałości. Cóż wy na to, jeśli się nie mylę, he?

— Musimy pójść do nich!

— Rozumie się!

— Przypatrzyć im się!

— Przypatrzyć? Rzeczywiście przypatrzyć? — za pytał, spoglądając na mnie z ukosa, a w zupełnem zdumieniu.

— Tak. Nie widziałem jeszcze nigdy bizonów i chciałbym je bardzo podpatrzyć.

Byłem zaciekawiony jako zoolog, czego mały Sam nie mógł zrozumieć. Załamał ręce i rzekł:

— Podpatrzyć, tylko podpatrzyć? To zupełnie tak samo, jak kiedy malec przykłada oczy do szpary w króliczarni, aby podpatrzyć króliki. O greenhornie, co ja z wami przeżywam! Ja nie będę im się przypatrywał, ani ich podpatrywał, lecz będę na nie polował!

— Dzisiaj, w niedzielę?

Wyrwało mi się to niebacznie. Sam Hawkens rozgniewał się z tego powodu naprawdę i krzyknął na mnie:

— Zamknijcie dziób z łaski swojej, sir! Czy prawdziwy westman pyta kiedy, czy to niedziela, widząc przed sobą pierwsze bizony? One dają mięso! Zrozumiano? Mięso i to jakie, jeśli się nie mylę! Kawał polędwicy bawolej jest rzeczą wspanialszą niźli niebiański Ambroży, czy Ambrożyna, czy też jak to się tam nazywa, czem żyli starzy greccy bogowie. Muszę dostać polędwicy bawolej, żebym miał głową nałożyć! Wiatr wieje ku nam, a to dobre. Tu na północnej ścianie doliny świeci słońce, ale tam na południowej cień leży. Jeśli się tam zaczaimy, nie zobaczą nas bawoły. Chodźcie!

Spojrzał na swoją „Liddy“, czy obie lufy w porządku i popędził konia na wskazane miejsce. Ja także zbadałem za jego przykładem swoją rusznicę. Ujrzawszy to, zatrzymał Sam zaraz konia i zapytał:

— Macie ochotę wziąć udział w polowaniu?

— Oczywiście!

— Dajcie temu pokój, jeżeli nie chcecie być za dziesięć minut rozdeptani na miazgę! Bizon, to nie kanarek, którego się bierze na palec i każe śpiewać. Zanim będziecie mogli puścić się na tak niebezpieczną zwierzynę, to nie raz jeszcze zaświeci słońce na górach, i nie jedna burza po nad niemi przejdzie.

— Spróbuję mimo...

— Milczcie i słuchajcie! — przerwał mi tonem, jakiego nigdy wobec mnie nie używał. — Ja waszego życia na swe sumienie nie wezmę. Wjechalibyście z pewnością w paszczę niechybnej śmierci. Kiedyindziej, róbcie sobie, co się wam podoba, ale teraz oporu nie zniosę!

Gdyby nie dobry stosunek między nami, byłby Sam dostał na to należytą odpowiedź; tak jednak umilkłem i pojechałem za nim zwolna pasem cienia, rzuconym przez las.

— Jest ich, jak widzę, ze dwadzieścia — mówił już łagodniej — ale popatrzcie, kiedy ich tysiąc pędzi przez sawannę! Widywałem dawniej trzody, liczące po dwa tysiące i więcej sztuk. Był to chleb Indyanina, a biali mu go zabrali. Czerwonoskórzec oszczędzał zwierzyny, gdyż dawała mu pożywienie, zabijał tylko w miarę potrzeby, biały natomiast grasował wśród tych trzód niezliczonych, jak dzikie zwierzę drapieżne, mordujące nawet wówczas, gdy już jest syte, dla samego rozlewu krwi. Wkrótce zniknie tutaj ostatni bawół, a zaraz po nim Indyanin. Niech się Bóg nad nimi zlituje! Tak samo jest z trzodami koni. Dawniej żyły gromady, złożone z tysiąca lub więcej mustangów, teraz wpada człowiek w zachwyt, gdy ich setkę razem zobaczy.

Tymczasem zbliżyliśmy się niepostrzeżenie do bawołów na jakich czterysta kroków. Hawkens zatrzymał konia. Zwierzęta pasąc się, zwolna posuwały się w górę doliny. Na samym przodzie szedł stary byk, którego olbrzymie cielsko w zdumienie mię wprawiło. Był pewnie ze dwa metry wysoki, a ze trzy długi. Nieumiałem wówczas jeszcze ocenić wagi bizona, ale ten mógł ważyć ze trzydzieści cetnarów: olbrzymia masa mięsa i kości. Natrafił na błotnistą kałużę, zaczął się w niej tarzać z widocznem zadowoleniem.

— To przewodnik, — szepnął Sam — najniebezpieczniejszy z całej gromady. Kto się z nim spotka, powinien mieć przy sobie podpisany testament. Biorę młodą krowę na prawo za nim. Uważajcie, gdzie jej kulę wpakuję! Za łopatką w bok skośnie w serce, to najlepszy i najpewniejszy strzał, oprócz strzału w oko. Ale chyba waryat celowałby w bizona z przodu, aby go trafić w oko! Stańcie tutaj i wciśnijcie się z koniem w zarośla! Skoro mnie spostrzegą, rzucą się do ucieczki,

odbędzie się tędy cała ta dzika gonitwa. Ale niech was Bóg broni przed myślą opuszczenia tego miejsca, zanim nie powrócę, lub was nie zawołam!

Pojechał zwolna i cicho dopiero, gdy wykonałem jego rozkaz, zajmując stanowisko między dwoma chaszczami. Dziwne uczucia mną owładnęły. Czytałem często, jak się poluje na bizony i pod tym względem niktby mi był nic nowego nie powiedział, ale zawsze jest różnica między papierem, na którym się o tem drukuje, a dziczą, w której się to przeżywa. Tego dnia po raz pierwszy w życiu widziałem bawołu. Zwierzęta, które dawniej strzelałem, nie mogły nawet iść w porównanie z tymi niebezpiecznymi olbrzymami. Należałoby więc przypuścić, że stosownie do rozkazu Sama wstrzymam się od udziału w polowaniu, tymczasem stało się całkiem przeciwnie. Przedtem chciałem się tylko biernie przypatrywać bizonom, a teraz uczułem silną, niepohamowaną, żądzę czynnego wobec nich wystąpienia. Sam postanowił zabić tylko młodą krowę? Tfu! Pomyślałem sobie w duchu. Do tego nie potrzeba odwagi! Prawdziwy mężczyzna weźmie się właśnie do najtęższego buhaja!

Koń zaczął się bardzo niepokoić i przebierać kopytami. Nie widział nigdy jeszcze bawołów, bał się i chciał uciekać. Z wielką trudnością utrzymywałem go na miejscu. Czy nie było lepiej zmusić go do wyjścia naprzeciwko buhaja? Bez żadnego podniecenia rozważałem tę myśl. W tem rozstrzygnęło wrażenie chwili.

Sam zbliżył się do bizonów na trzysta kroków, poczem ścisnął konia ostrogami, pocwałował ku trzodzie i przemknął obok byka, aby się dostać do owej krowy. Ona stropiła się, zapomniała o ucieczce, a on dobiegł do niej i w przelocie wystrzelił. Ofiara drgnęła i spuściła głowę. Czy padła, tego nie widziałem, gdyż inny widok zajął moją uwagę.

Olbrzymi buhaj zerwał się i łypnął oczyma za Samem Hawkensem. Co za potężne zwierzę! Gruba głowa ze sklepioną wysoko czaszką, szerokiem czołem i krótkimi wprawdzie, ale mocnymi, wygiętymi w górę rogami, gęsta, kudłata, grzywa na głowie i piersi, oraz wznoszący się ku przednim łopatkom zad, przedstawiały obraz pierwotnej, surowej siły. Tak, to było niebezpieczne stworzenie, ale widok jego podsycał wprost pragnienie, by spróbować zdolności ludzkich na tej sile zwierzęcej.

Nie wiem, czy ja podpędziłem deresza, czy też on sam mnie uniósł. Wypadł z zarośli i skierował się w lewo; szarpnąłem go jednak w prawo i pognałem prosto na byka, który posłyszał, że się zbliżam, odwrócił się, a ujrzawszy mnie, pochylił głową, aby konia i jeźdźca przyjąć rogami. Sam krzyczał z całych sił, ale ja nie

miałem czasu popatrzeć w tę stronę. Nie mogłem bizona poczęstować kulą, bo nie stał mi dobrze pod strzał, a powtóre koń opierał się mnie i leciał ze strachu wprost na groźnego olbrzyma. Byk rzucił w bok tylne nogi, a głowę w górę, aby konia nadziać na rogi. Z wytężeniem wszystkich sił udało mi się pchnąć deresza w bok o tyle, że wyciągniętym skokiem przeleciał nad zadem byka, który wobec tego rogami uderzył tuż obok nóg moich. Ten skok zaprowadził konia wprost do kałuży, w której przedtem byk się tarzał. Spostrzegłem to w czas wyjąłem na szczęście nogi ze strzemion, gdyż koń się pośliznął, padając razem ze mną w błoto. Już w następnej chwili jednak stałem, trzymając strzelbę mocno w ręku. Ale jak do tego mogło tak prędko przyjść, do dziś nie pojmuję. Bawół obrócił się za nami i puścił się w niezgrabnych susach ku koniowi, który się tymczasem podniósł, chcąc uciec. Gdy byk nadstawił ku mnie bok, złożyłem się do strzału. Rusznica miała teraz pokazać, co naprawdę potrafi. Jeszcze jeden skok, a bizon byłby dobiegł do deresza. Wypaliłem. Olbrzymie zwierzą zatrzymało się w biegu, niewiadomo, czy ze strachu przed hukiem, czy dlatego, że dobrze trafiłem. Posłałem mu natychmiast drugą kulę. Bawół podniósł zwolna głowę, wydał ryk tak straszny, że ciarki po mnie przeszły, zachwiał się kilka razy tam i nazad i runął na miejscu.

Byłbym krzyknął z radości nad tem ciążkiem zwycięstwem, gdyby nie było nic ważniejszego do czynienia. Koń mój pędził na bok bez jeźdźca, a Sam Hawkens cwałował po drugiej stronie doliny, ścigany przez byka, nie o wiele mniejszego od tego, którego zabiłem.

Należy wiedzieć, że bizon, raz podrażniony, nie wypuszcza przeciwnika i że dorównywa przytem w szybkości koniowi. W takim wypadku okazuje odwagę, chytrość i wytrwałość, jakiej nikt nie spodziewałby się po nim.

Tak i ten byk nastawał już na pięty Hawkensowi, który, uciekając przed nim, wykonywał niebezpieczne zwroty, nużące konia. Pomoc była konieczna, gdyż koń nie byłby wytrzymał tak długo, jak bawół. Nie miałem czasu popatrzyć, czy mój buhaj żyje, czy nie żyje. Nabiłem czemprędzej obie lufy i pobiegłem przez dolinę. Sam to zobaczył, chciał wyjść aa spotkanie odsieczy i zwrócił konia ku mnie, lecz przez to popełnił straszny błąd, gdyż byk, który pędził tuż za nim, dostał teraz konia z boku. Ujrzałem, jak schylił głową i jednem pchnięciem podrzucił w górę konia i jeźdźca, a kiedy potem obaj upadli na ziemię, zaczął ich wściekle obrabiać, szarpiąc bezustannie rogami. Sam wołał, jak zdołał najgłośniej, o pomoc. Choć jeszcze jakich stopięćdziesiąt krokow dzieliło mnie od niego, to jednak ani chwili nie mogłem się wahać. Wiedziałem dobrze, że strzał z mniejszej odległości byłby

niewątpliwie pewniejszy, ale zachodziła też możliwość śmierci Hawkensa, gdybym się spóźnił. Gdybym był nawet dobrze nie trafił, to spodziewałem się przynajmniej tej korzyści, że odwrócę od przyjaciela uwagę potwora. Stanąłem, wymierzyłem w lewą łopatkę i wystrzeliłem. Bawół podniósł głowę, jak gdyby nadsłuchiwał i odwrócił się powoli. Ujrzawszy mnie, rzucił się w tę stronę, ale gnał ze zmniejszającą się ciągle szybkością, dzięki czemu udało mi się choć w gorączkowym pośpiechu nabić powtórnie. Uporałem się z tem, kiedy byk był odemnie o jakich trzydzieści kroków. Wskutek utraty sił biegł już tylko powoli, ale zbliżał się do mnie z pochyloną głową i zakrwawionemi oczyma jak przeznaczenie, którego wstrzymać nie można. Ukląkłem i wymierzyłem. Ten mój ruch spowodował to, że bizon na chwilę stanął i podniósł nieco głowę do góry, aby mnie lepiej zobaczyć. Przez to podsunął oczy swoje przed moje lufy. Skorzystałem z tego i wpakowałem mu jedną kulę w prawe, a drugą w lewe oko. Krótkie drżenie przebiegło przez jego cielsko i bestya runęła na ziemię.

Zerwałem się, by pospieszyć do Sama, ale to okazało się zbytecznem, gdyż on sam znalazł się zaraz koło mnie.

— Halloo! — zawołałem doń. — Żyjecie? Nie jesteście ciężko ranieni?

— Wcale nie! — odpowiedział. — Boli mnie tylko prawy kłąb, albo lewy, jeśli się nie mylę; nie mogę się teraz tego dobadać.

— A koń!

— Już po nim. Dycha jeszcze wprawdzie, ale bawół rozdarł mu cały brzuch. Aby mu skrócić cierpienia, musimy go zastrzelić; biedne zwierzę! Czy bizon nie żyje?

— Przypuszczam!

Podszedłszy ku zwierzęciu, przekonaliśmy się, że w niem już życia nie było. Wtem rzekł Hawkens, odetchnąwszy głęboko:

— A to mi ten stary, brutalny, wół zadał roboty! Krowa postąpiłaby ze mną delikatniej. Oczywiście trudno wymagać Od wołów, żeby były ladylike hi, hi, hi!

— Jakże on wpadł na ten głupi pomysł, żeby was zaczepić?

— Nie widzieliście tego?

— Nie.

— Zastrzeliłem krowę i zatrzymałem cwałującego konia dopiero w chwili, kiedy wpadł już na byka. Ten wziął mi to za złe i zabrał się do mnie naprawdę. Dałem mu wprawdzie czemprędzej kulę, która mi w drugiej lufie została, ale to nie nauczyło go widocznie rozumu, gdyż zaczął mi okazywać przywiązanie, jakiem mu

się odwzajemnić nie mogłem. Tak ścigał mnie zawzięcie, że mi nie pozwolił nabić strzelby powtórnie. Wobec tego odrzuciłem ją od siebie, jako niepotrzebną. Mając obie ręce wolne, kierowałem teraz koniem skuteczniej, jeśli się nie mylę. On biedny robił, co mógł, ale to się na nic nie zdało.

— Dlatego, że wykonaliście ten ostatni nagły zwrot. Należało jechać łukiem; bylibyście konia w ten sposób ocalili.

— Byłbym ocalił? Mówicie, jak stary. Nie spodziewałem się tego po greenhornie.

— Pshaw! Greenhorny mają także swoje dobre strony!

— Słusznie. Gdyby nie wy, leżałbym teraz tak samo skłuty i poszarpany jak koń. Chodźmy do niego!

Zastaliśmy nieszczęśliwe zwierzę w stanie opłakanym: wnętrzności wyszły mu z brzucha. Sam nabił swoją strzelbę, którą był dopieroco odrzucił i dał mu strzał miłosierny. Potem zdjął zeń cugle i siodło i rzekł:

— Teraz mogę udawać własnego konia i wziąć siodło na plecy. To jest korzyść z najechania na wołu.

— Tak. A skąd weźmiecie innego konia? — spytałem.

— O to się najmniej troszczę. Schwytam sobie, jeśli się nie mylę.

— Mustanga?

— Tak. Bawoły już są. Zaczęły wędrówkę na południe, wkrótce więc pokażą się także i mustangi.

— Czy będę mógł wam towarzyszyć?

— Oczywiście. I to poznać musicie. Lecz teraz chodźcie obejrzeć starego stadnika. Takie matuzalemy miewają nadzwyczaj twarde życie.

Poszliśmy. Zwierzę leżało martwe i teraz dopiero można było zmierzyć lepiej oczyma olbrzymie kształty jego cielska. Sam spozierał to na mnie, to na bawołu, robił nieokreślone miny i potrząsał głową.

— To niepojęte, wręcz niepojęte! — odezwał się wkońcu. — Czy wiecie, gdzie trafiliście go kulą?

— No, gdzie?

— W samo właściwe miejsce. To prastare bydlę. Ja byłbym się zastanowił dziesięć razy, zanim poważyłbym się go zaczepić. Czy wiecie, czem wy jesteście?

— Czem?

— Najlekkomyślniejszym człowiekiem na świecie.

— Oho!

— Tak, najlekkomyślniejszym na świecie.

— Lekkomyślność nigdy nie była mym błędem.

— To zaprzyjaźniliście się z nią teraz. Zrozumiano? Kazałem wam przecież nie tykać bawołów i siedzieć w krzakach. Czemu nie posłuchaliście?

— Sam nie wiem.

— Tak! A więc podejmujecie się czynów bez powodu. Czyż to nie lekkomyślne?

— Sądzę, że nie. Z pewnością była już jakaś przyczyna.

— To chyba znacie ją!

— Może to, że wydaliście mi rozkaz, a ja nie pozwalam sobie rozkazywać.

— Tak! Jeśli się ma dla was dobre chęci i ostrzega przed niebezpieczeństwem, to jesteście właśnie na tyle uparty, że narażacie się na nie.

— Nie przybyłem na Zachód, żeby unikać grożących tu niebezpieczeństw.

— Bardzo dobrze, ale jesteście greenhorn i winniście mieć się na baczności. A skoro wam nie w smak było mnie słuchać, to dlaczego zabraliście się właśnie do tego olbrzymiego bydlęcia, a nie do krowy?

— Bo to bardziej rycerskie.

— Rycerskie! Ten greenhorn chce być rycerzem, jeśli się nie mylę, hi-hi-hi!

Śmiał się, że się aż za brzuch trzymał i mówił dalej:

— Jeśli istotnie wbiliście sobie to w głowę, żeby występować tu jako rycerz, to grajcie Toggenburga, bo na Bayarda i Rolanda brak wam jeszcze wielu rzeczy. Zakochajcie się w krowie bawolej, siadajcie na nią codzienie o zachodzie słońca i czekajce, dopóki ukochana nie zejdzie do was na dolinę. Wtedy moglibyście nawet pewnego pięknego wieczoru jako trup stać się upragnionym żerem dla kujotów i sępów. Cokolwiek czyni westman, nie zważa nigdy na to, czy to rycerskie, lecz czy mu się przyda.

— Przecież i w tym wypadku było właśnie i to uwzględnione.

— Jakto?

— Zabiłem bawołu, bo ma więcej mięsa niż krowa.

Patrzył na mnie czas jakiś i zawołał:

— Więcej mięsa? Ten młodzieniec zastrzelił byka dla mięsa, hi-hi-hi! Zdaje się, że wątpiliście o mojej odwadze, ponieważ ja obrałem krowę?

— Tak nie myślałem, chociaż uważałem za dowód większej odwagi wybrać

zwierzę silniejsze.

— I jeść mięso buhaja? Okropny z was mądrala, sir! Ten byk dźwiga z pewnością ośmnaście, lub dwadzieścia lat na grzbiecie, a składa się ze skóry, kości, ścięgien i żył. Mięsa jego nie można już nazwać mięsem, chyba skórą wygarbowaną; choćbyście je całymi dniami piekli i gotowali, nie zdołacie go rozgryźć. Każdy doświadczony westman woli krową niż wołu, ponieważ jej mięso miększe i delikatniejsze. Widzicie więc, jaki z was greenhorn. Nie miałem czasu na was uważać. Jakżeż rozegrał się wasz lekkomyślny atak na bawołu?

Opowiedziałem mu wszystko szczegółowo, a gdy skończyłem, zmierzył mnie wielkiemi oczyma i potrząsnął znowu głową.

— Zejdźcie tam na dół — rzekł — i sprowadźcie swego konia. On nam poniesie mięso, które zabierzemy z sobą.

Uczyniłem zadość wezwaniu Hawkensa. Ale przyznaję otwarcie, że zachowanie jego rozczarowało mnie. Wysłuchał mego opowiadania i nie odezwał się na to ani słowem, tymczasem ja spodziewałem się jakiegoś, choćby małego, uznania. Zamiast tego wysłał mnie on po konia. Nie gniewałem się mimo to na niego, ponieważ nigdy nie robiłem niczego dla pochwał.

Kiedy konia przyprowadziłem, klęczał już Sam nad zabitą krową, zdjął z tylnych nóg prawidłowo skórę i wykroił polędwicę.

— Tak — rzekł — to będzie pieczeń na dziś wieczór.

Ułożymy to mięso razem z siodłem i uzdą na waszym koniu. Przeznaczam to tylko dla siebie, dla was, dla Dicka i Willa. Jeżeli tamci też zechcą, to niech sobie przyjadą tutaj i zabiorą krowę.

— Jeśli jej przedtem nie rozdzióbią ptaki i nie pożrą inne dzikie zwierzęta.

— Tak? Cóż za mądrość u was! Rozumie się samo przez się, że nakryjemy ją gałęziami i przyłożymy potem kamieniami. Chyba niedźwiedź, lub inne jakie wielkie zwierzę mogłoby się potem dostać do tego.

Wyciąłem silne gałęzie z poblizkich krzaków i naznosiłem ciężkich kamieni. Nakryliśmy tem krowę, a potem obładowaliśmy konia.

— Co będzie ze stadnikiem? — zapytałem.

— Cóż miałoby z nim się stać?

— Czy nic się dla nas z niego nie przyda?

— Zupełnie nic.

— A skóra?

— Jesteście może garbarzem? Ja nie!

— Czytałem, że skóry zabitych bawołów chowa się w t. zw. caches.

Czytaliście o tem? No, skoro tak, to musi to być prawdą, gdyż wszystko, co piszą o dzikim Zachodzie, to prawda, czysta prawda, niezachwiana prawda, hi-hi-hi! Rzeczywiście są westmani, zabijający zwierzęta dla skóry. Ja to już także robiłem, ale teraz nie jest to naszym celem, nie będziemy się wlekli z tą ciężką skórą.

Wyruszyliśmy z powrotem i przybyliśmy do obozu w pół godziny, jakkolwiek musieliśmy iść piechotą, w takiej bowiem odległości znajdowała się dolina, w której położyłem trupem pierwszego, a raczej dwa pierwsze bawoły.

Nasz powrót piechotą i brak Samowego konia wywołał ogólne zdziwienie. Pytano o przyczynę.

— Polowaliśmy na bawoły, przyczem rozpruł mi buhaj konia — odrzekł Sam Hawkens.

— Polowali na bawoły, bawoły, bawoły! — zabrzmiało z ust wszystkich. — Gdzież to, gdzie?

— O małe pół godzinki stąd. Przynieśliśmy sobie udo, a wy możecie zabrać resztę.

— Owszem, zaraz! — zawołał Rattler, zachowując się tak, jakby pomiędzy mną a nim nic nie zaszło. — Gdzie jest to miejsce?

— Jedźcie naszym śladem, a znajdziecie. Macie dość oczu, jeśli się nie mylę.

— Ile sztuk było?

— Dwadzieścia.

— A ile zabiliście?

— Jedną krowę.

— Tylko? Gdzież reszta?

— Znikła! Możecie sobie szukać. Nie troszczyłem się i nie pytałem o to, gdzie się wybrały na przechadzkę, hi-hi-hi!

— Ale żeby dwu strzelców z dwudziestu sztuk zabiło tylko jedną krowę, to szczególne — zauważył jeden z nich pogardliwie.

— Zróbcie to lepiej, jeżeli zdołacie, sir! Wy zabilibyście pewnie wszystkich dwadzieścia i jeszcze kilka ponadto. Zresztą, gdy tam przyjdziecie, znajdziecie jeszcze dwa stare dwudziestoletnie byki, które zastrzelił ten młody gentleman.

— Byki, stare byki! — zawołano dokoła. — No, żeby popełnić takie głupstwo i

strzelać do dwudziestoletnich byków, na to potrzeba strasznego greenhorna!

— Śmiejcie się z niego, panowie, ale przypatrzcie się także tym bykom! On mi tem życie uratował!

— Życie? Jakto?

Domagali się natarczywie, żeby im opowiedzieć o przygodzie, ale Sam odprawił ich temi słowy:

— Nie mam ochoty mówić teraz o tem. Niech on wam sam opowie, jeżeli uważacie za stosowne pójść po mięso dopiero wtedy, kiedy się ściemni.

Miał słuszność, gdyż słońce już się było bardzo ku zachodowi pochyliło. Zresztą domyślili się oni, że ja tem mniej będę skłonny do opowiadania, dosiedli więc prędko koni i odjechali wszyscy razem; wszyscy, bo nie dowierzali sobie wzajemnie. Między porządnymi myśliwcami, których łączy przyjacielski stosunek, należy zwierzyna, ubita przez jednego, do wszystkich, ale tego poczucia wspólności ci ludzie nie posiadali. Później nawet dowiedziałem się, że jak dzicy rzucili się do krowy i wśród kłótni i przekleństw nożami wyrywali każdy dla siebie, o ile możności, największy i najlepszy kawałek.

Kiedy się ci oddalili, zdjęliśmy polędwicę i siodło z konia, potem ja odprowadziłem go na bok, by go rozkiełznać i przywiązać do pala. Przez ten czas skreślił Sam Hawkens dzieje naszej przygody Parkerowi i Stone'owi. Między nimi a mną stał namiot, nie widzieli więc mnie, kiedy znów się do nich zbliżyłem. Będąc już prawie koło namiotu, usłyszałem głos Sama:

— Wierzcie mi, że tak jest, jak mówię. Ten człeczyna bierze wam największego właśnie i najsilniejszego byka na cel i kładzie go jak stary strzelec. Udałem oczywiście, że uważam to za lekkomyślność, wyłajałem go nawet, jak się należy, ale wiem, co o nim myśleć.

— Ja także — potwierdził Stone. — Będzie z niego tęgi westman.

— I to wnet — doleciał mnie głos Parkera.

— Yes — rzekł Hawkens. — On urodzony, wprost urodzony do tego. A przytem jego siła fizyczna! Czy nie pociągnął wczoraj ciężkiego wozu sam, bez cudzej pomocy? Gdzie on przejdzie, tam nie rychło trawa wyrośnie. Ale przyrzeknijcie mi jedno!

— Co? — spytał Parker.

— Nie okazujcie mu tego, co o nim sądzimy.

— Czemu?

— Bo przewróciłoby mu się w głowie.

— O nie!

— Przeciwnie! To wcale skromne stworzenie bez odrobiny pychy, ale zawsze to źle chwalić człowieka; łatwo przez to popsuć nawet najlepszy charakter. Nazywajcie go więc śmiało greenhornem, bo choć on posiada wszystkie zalety, potrzebne dzielnemu westmanowi, to nie są one jeszcze wykształcone; musi się jeszcze wiele ćwiczyć i wiele doświadczyć.

— Czy podziękowałeś mu za ocalenie życia?

— Ani mi na myśl nie przyszło!

— Nie? Cóż on pomyśli o tobie?

— To mi jest zupełnie obojętne, jeśli się nie mylę. Ty, rozumie się, uważasz mnie za obranego z rozumu i niewdzięcznego draba, ale mniejsza o to. Ważniejsze to, żeby się nie wynosił i został takim, jak jest. Byłbym go chętnie uściskał i ucałował!

— Fi! — zawołał Stone. — Ciebie całować! Na uścisk możnaby jeszcze się odważyć, ale całować, nie!

— Co? Nie? Dlaczego? — zapytał Sam.

— Dlaczego? Cóż to, czy nie widziałeś nigdy jeszcze lusterka, albo swej uroczej podobizny w czystej wodzie? Ta twarz, ta broda i ten nos! Człowiecze, ktoby wpadł na niedorzeczny pomysł dotknąć swojemi ustami tam, gdzie twoich szukać należy, ten zrobiłby to chyba wskutek słonecznego udaru, albo zamrożenia mózgu.

— Tak! Ach! Hm! Wcale przyjemnie wyrażasz się o mnie. Jestem więc poczwarą! Za cóż ty siebie uważasz? Może za piękność? Nie bądź zarozumiały! Daję słowo, że na konkursie piękności ja otrzymałbym pierwszą nagrodę, a ciebieby odpalono, hihihi! Ale to nie należy do rzeczy. Wróćmy do naszego greenhorna. Nie podziękowałem mu, jak już zaznaczyłem, i nie uczynię tego, ale gdy się polędwica upiecze, dostanie najlepszy i najsoczystszy kawałek; sam mu go ukroję, bo na to zasłużył. Wiecie, co jutro zrobię?

— Co? — spytał Stone.

— Wielką przyjemność greenhornowi.

— Czem?

— Dam mu sposobność schwytania mustanga.

— Pójdziesz na mustangi?

— Tak. Przecież muszę się postarać o konia. Tymczasem do polowania

pożyczysz mi swego. Ponieważ dzisiaj pokazały się bawoły, więc nadejdą także mustangi. Przypusz czam, że wystarczy zjechać, na prerye gdzie wytyczaliśmy kolej. Tam będą z pewnością mustangi, jeśli tylko przyszły już na tę szerokość.

Przestałem podsłuchiwać, cofnąłem się w zarośla, aby się do towarzyszy zbliżyć z drugiej strony. Chciałem zostawić ich w przekonaniu, że nie słyszałem, co o mnie mówili.

Rozniecono ognisko, obok którego wbito w ziemię dwie widlaste gałęzie. Tworzyły one podporę dla rożna, sporządzonego z prostego konara. Wsadzono nań całe udo, poczem Hawkens zaczął rożen obracać powoli i z artystyczną rozwagą. W duchu ubawiłem się jego pełnemi upojenia minami, jakie przytem stroił.

Kiedy tamci wrócili z mięsem, wszyscy rozniecili sobie za naszym przykładem kilka ognisk. Oczywiście, że nie zachowywali się tak spokojnie, jak my. Każdy chciał piec dla siebie, tymczasem zabrakło miejsca i skutkiem tego musieli spożyć swoje porcye w stanie na pół surowym.

Ja dostałem rzeczywiście najlepszy kawałek, może trzyfuntowy i zjadłem go. To nie powinno wywołać zarzutu, że jestem żarłok. Kto sam tego nie przeżył i nie doświadczył, nie uwierzy, jakie masy mięsa potrafi i musi spożywać zachodniokrajowiec, jeśli chce się utrzymać przy zdrowiu i siłach.

Człowiek potrzebuje do utrzymania życia oprócz pierwiastków nieorganicznych pewnej ilości białka i węglowodanów i może je sobie zdobyć w odpowiednim stosunku, jeśli żyje w kraju cywilizowanym. Ale westman, który nieraz miesiące całe spędzał w odludnych okolicach, żył tylko mięsem, zawierającem mało węglowodanów, musiał zjadać dużo mięsa, ażeby wprowadzić do organizmu konieczną ilość węglowodanów. Że przytem spożywał niepotrzebnie zbyt wiele białka, które w odżywianiu odgrywało nawet szkodliwą rolę, o to oczywiście nie troszczył się wiele. Widziałem trapera, który zjadł naraz ośm funtów mięsa, a gdy go potem spytałem, czy już syty, odparł mi, krząkając:

— Muszę być syty, gdyż więcej nie mam, ale jeśli mi odstąpicie kawałek ze swego, nie będziecie długo czekali, zanim zniknie wam z oczu.

Podczas jedzenia bawili się „westmani" naszem polowaniem na bawoły. Dowiedziałem się, że nabrali innego wyobrażenia o „głupstwie," które popełniłem, gdy ujrzeli obydwa byki.

Nazajutrz rano udałem, że się zabieram do pracy, gdy wtem pojawił się Sam Hawkens.

— Zostawcie te instrumenta, sir! Czeka was robota, bardziej zajmująca.

— Jaka?

— Jeszcze się o tem dowiecie. Przygotujcie konia. Zaraz ruszamy.

— Na przejażdżkę? Ja mam tu obowiązki.

— Pshaw! Namęczyliście się dość chyba. Zresztą przypuszczam, że już w południe wrócimy. Potem będziecie sobie mierzyli i liczyli, ile wam się spodoba.

Zawiadomiwszy o tem Bancrofta, odjechaliśmy z Samem. Hawkens robił po drodze tajemnicze miny, a ja nie okazywałem wcale, że znam już jego zamiary. Po zmierzonej już przestrzeni dostaliśmy się aż do preryi, wspomnianej wczoraj przez Sama.

Była może na dwie mile angielskie szeroka, a dwa razy tak długa, otaczały zaś ją lesiste wzgórza. Środkiem jej płynął potok, wcale szeroki, miała więc dość wilgoci, a skutkiem tego rosła tam bujna trawa. Od północy można się było dostać na tę preryę pomiędzy dwoma górami, a ku południowi kończyła się ona doliną, ciągnąca się dalej w tym samym kierunku. Kiedyśmy tam przybyli, zatrzymał się Hawkens i przebiegł równinę badawczem spojrzeniem, poczem puściliśmy się dalej na północ wzdłuż brzegu strumienia. Nagle wydał ze siebie Hawkens okrzyk, osadził konia na miejscu, zsiadł zeń, przeskoczył przez potok i popędził na miejsce gdzie było widać stratowaną trawę. Zbadawszy to miejsce dokładnie, wrócił, dosiadł znów konia i pojechał dalej, ale już nie w kierunku północnym, lecz zboczył pod prostym kątem tak, że wkróce znaleźliśmy się na zachodniej krawędzi preryi. Tu zsiadł znowu z konia i puścił go na paszę, związawszy przedtem starannie. Od chwili zbadania śladów nie wypuścił z ust ani słowa, ale na zarosłej jego twarzy rozlewał się wyraz zadowolenia jak blask słoneczny po lesistej okolicy. Uroczyście zwrócił się do mnie z wezwaniem.

— Zsiądźcie także, sir. z konia i zechciejcie go przywiązać! Tu zaczekamy.

— Dlaczego mocno przywiązać? — spytałem, pomimo że wiedziałem dobrze, o co idzie.

— Bo moglibyście go łatwo utracić. Byłem nieraz świadkiem tego, jak konie uciekały w takich okolicznościach.

— Jakich okolicznościach?

— Nie domyślacie się?

Hm!

No, zgadnijcie!

Mustangi?

A wy skąd o tem wiecie? — rzekł zdziwiony, rzucając na mnie szybko spojrzenie.

Czytałem o tem.

O czem?

Że konie swojskie, nieprzywiązane należycie, uciekają chętnie z dzikimi mustangami.

— Niech was dyabeł porwie! O wszystkiem czytaliście i nie łatwo wam zrobić niespodziankę. Wobec tego wolę ludzi, którzy nie umieją czytać!

— Chcecie mi sprawić niespodziankę?

— Naturalnie.

— Polowaniem na mustangi?

— Tak.

— To już niemożliwe. Warunkiem niespodzianki jest poprzednia nieświadomość o danej rzeczy, tymczasem wy musielibyście mi powiedzieć o tem, zanim się konie ukażą.

— Słusznie! Słuchajcie więc, mustangi były już tutaj.

— Czy to ich ślady badaliście dopiero co?

— Tak; wczoraj tędy przeszły. Była to straż przednia, uważacie, wywiadowcy. Trzeba wam wiedzieć, że to zwierzęta ogromnie mądre. Wysyłają zawsze małe oddziały naprzód i na boki, mają swoich oficerów zupełnie jak wojsko, a dowódcą jest zawsze stary i doświadczony ogier. Czy się pasą, czy przenoszą się z miejsca, zawsze obwód trzody stanowią ogiery, potem następują ku środkowi klacze, a w samym środku znajdują się źrebięta. Dzieje się to w tym celu, żeby ogiery mogły bronić klaczy i źrebiąt. Pokazywałem wam już nieraz, jak chwytać lassem mustanga. Zapamiętaliście sobie?

— Rozumie się.

— Czy macie ochotę złapać sobie jednego?

— Owszem.

— Przed południem nastręczy się sposobność do tego, sir!

— Dziękuję! Ja z niej nie skorzystam.

— Nie! Ali devils! Czemu? — Bo nie potrzebuję konia.

— Ależ westman nie ogląda się na, to czy mu konia potrzeba, czy nie!

— Wyobrażałem sobie inaczej prawego westmana.

— Jakimże on ma być?

— Mówiliście wczoraj o myśliwych, polujących dla ścierwa, o białych, którzy zabijają masami bawoły, chociaż mięso ich na nic im się nie przyda. Uważam to za krzywdę, wyrządzaną zwierzętom i czerwonoskórym, których przez to pozbawia się pożywienia. Wy chyba nie jesteście innego zdania?

— Oczywiście!

— Zupełnie tak samo ma się rzecz z końmi. Nie chcę żadnemu z tych wspaniałych mustangów zabierać wolności, nie mogąc tego usprawiedliwić koniecznością zdobycia konia.

— Uczciwie myślicie, sir, bardzo uczciwie. Tak samo jak wy musi myśleć, mówić i działać każdy człowiek i chrześcijanin. Ale kto wam to powiedział, że macie jakiemuś mustangowi odebrać wolność, ćwiczyliście się w rzucaniu lassem, teraz możecie zrobić próbę. Chcę zobaczyć, czy zdacie egzamin.

— To co innego. Na to przystaję.

— Pięknie! Mnie idzie oczywiście o konia i wybiorę też sobie jednego. Zwracałem wam już tyle razy na to uwagę i teraz powtarzam: Siedźcie mocno na siodle i osadźcie dobrze konia w chwili, kiedy się lasso napręży i nastąpi szarpnięcie. W przeciwnym razie spadniecie, a mustang popędzi i pociągnie na lassie waszego konia za sobą. Stracicie własnego konia i zostaniecie pospolitym piechurem, takim, jak ja teraz.

Chciał mówić dalej, lecz utknął i podniósł rękę , ku wspomnianym już dwom górom na północnym krańcu preryi. Tam ukazał się jeden luźny koń. Szedł powoli, nie pasąc się, rzucał głową to w jedną, to w drugą stronę i wciągał w nozdrza powietrze.

— Widzicie go? — szepnął Sam cicho, choć koń nie mógł nas usłyszeć. — Czy nie powiedziałem, że nadejdą? To wywiadowca, który poskoczył naprzód, aby zbadać, czy okolica bezpieczna. Chytry ogier. Jak łypie oczyma na wszystkie strony, jak wietrzy! Nas nie poczuje, bo stoimy twarzą do wiatru. Umyślnie wybrałem to miejsce.

Teraz puścił się mustang kłusem najpierw w prawo potem w lewo, a w końcu zawrócił i umknął tam, skąd był wyszedł.

— Przypatrzyliście się temu koniowi? — spytał Sam. — Jak mądrze się zachowuje, jak wyzyskał każdy krzak, żeby się ukryć przed obcym wzrokiem! Indyański wywiadowca lepiej nie robiłby tego.

— To prawda. Jestem zdumiony.

— Teraz wrócił, aby swemu czworonożnemu generałowi donieść, że droga wolna. Ale się pomylą, hi! hi! hi! Założę się, że najpóźniej za dziesięć minut będą już tutaj.

— No, a my?

— Wy pojedziecie czemprędzej aż do wyjścia z preryi i zaczekacie, ja zaś udam się ku wejściu i ukryję się tam w lesie. Gdy trzoda nadbiegnie, przepuszczę ją i popędzę za nią, ona będzie ku wam umykać, a skoro się pokażecie, cofnie się napowrót. Tak będziemy ją nawzajem ku sobie posyłać, dopóki nie upatrzymy sobie dwu najlepszych koni. Postaramy się schwytać je, potem ja wybiorę sobie lepszego, a gorszego puścimy wolno. Zgadzacie się?

— Jak możecie o to pytać! Ja nie rozumiem się zupełnie na chwytaniu koni, w czem wy mistrzem jesteście, będę się więc trzymał waszych wskazówek.

— Weil! Macie słuszność! Siedziałem już na wielu dzikich mustangach i opanowałem niejednego, mogę więc potwierdzić, że w słowie „mistrz" nie mieści się tym razem żadne głupstwo. A więc zabierajcie się, bo czas ucieknie, a my nie staniemy na miejscu właściwem.

Dosiadłszy znowu koni, rozjechaliśmy się, on na północ, a ja na południe, na najdalsze punkty preryi. Wiedziałem, że moja ciężka rusznica będzie mi zawadzała podczas chwytania mustangów, Byłbym się jej chętnie pozbył na razie, gdybym był nie znał zasady, że ostrożny westman rozłącza się ze strzelbą tylko wówczas, gdy jest pewny, że mu nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Teraz jednak każdej chwili mógł się zjawić Indyanin, lub zwierzę drapieżne, postarałem się więc tylko oto, żeby „stare gun" dobrze na rzemieniu wisiało i nie tłukło mnie w ruchu.

Z ciekawością czekałem na konie. Zatrzymałem się pod pierwszemi drzewami lasu, przytykającego do preryi, przywiązałem jeden koniec lassa do kuli u siodła i położyłem je potem zwinięte w pętle przed sobą tak, że trzeba tylko było je chwycić w stosownej chwili.

Dolny kraniec preryi był tak daleko odemnie, że byłbym nie dojrzał mustangów, gdyby się tam pojawiły. Musiałby je Sam na mnie napędzić. Nie minął jeszcze kwadrans, kiedy w dali ujrzałem mnóstwo ciemnych punktów, zwiększających się szybko w miarę, jak się do mnie zbliżały. Z początku nie większe od wróbli, wyglądały potem jak koty, psy, cielęta, aż w końcu przybrały naturalną wielkość. To mustangi leciały ku mnie w dzikim popłochu.

Co za wspaniały widok przedstawiały te zwierzęta! Grzywy owiewały im szyje,

a ogony chwiały się jak pióropusze. Było ich wszystkiego ze trzysta sztuk, a jednak zdawało się, że ziemia drży pod ich kopytami. Pochód prowadził siwy ogier, godny tego, żeby go schwytać i oswoić, gdyby nie to, że żadnemi myśliwemu na preryach przez myśl nie przejdzie jeździć na koniu jasnej maści, gdyż zdradziłoby, go to przed każdym nieprzyjacielem.

Teraz nadszedł czas, żeby się im ukazać. Wyjechałem z pod drzew na czyste pole. Na skutek tego, siwek dowódca rzucił się wstecz, jak gdyby kulą w pierś dostał, stado stanęło, wszystko parsknęło głośno i trwożnie, poczem cały szwadron zrobił w tył zwrot, siwek wysunął się szybko znowu na czoło i zwierzęta pognały tam, skąd przybiegły.

Ruszyłem za niemi wolno. Nie śpieszyłem się, będąc pewnym, że Sam znów je ku mnie napędzi. Podczas tego starałem się wytłumaczyć sobie zjawisko, które mnie zastanowiło. Chociaż konie zatrzymały się przedemną tylko na chwilkę, jednak wydało mi się, że jedno ze zwierząt nie było koniem, lecz mułem. Jakkolwiek pomyłka w tym względzie nie była wykluczona, to przecież myślałem, że dobrze widziałem. Za drugim razem postanowiłem lepiej się przypatrzeć. Rzekomy muł znajdował się w pierwszym szeregu zaraz za siwkiem dowódcą; widocznie uważały go konie nie tylko za równego sobie, ale nawet obdarzyły go pewną rangą.

Po pewnym czasie nadbiegły zwierzęta znowu, a na mój widok zawróciły. Powtórzyło się to raz jeszcze, a wtedy spostrzegłem wyraźnie, że się nie pomyliłem. Między nimi był muł, jasnobrunatny z ciemnym pasem wzdłuż grzbietu, robił nawet bardzo dobre wrażenie mimo wielkiej głowy i uszu. Muły mniej są wybredne niż konie, mają krok o wiele pewniejszy, a nad przepaścią nie dostają zawrotu głowy. Te zalety ważą dużo na szali, pomimo że zwierzęta te są bardzo uparte. Pozwalają się nieraz raczej na śmierć zabatożyć, a nie zrobią kroku naprzód, pomimo że nie dźwigają ciężaru i idą po drodze wyśmienitej. Poprostu nie chcą.

Wydało mi się, że ten muł miał dużo ognia, że mu oczy błyszczały jaśniej i inteligentniej niż u koni, postanowiłem więc złowić go. Nasunęło mi się także przypuszczenie, że uciekł właścicielowi za przelatującem stadem dzikich koni i przy nich już pozostał.

Teraz zawrócił Sam znów stado ku mnie i zbliżył się tak, że go już widziałem. Mustangi nie mogły się ruszyć ani w tył, ani naprzód, rzuciły się więc w bok, a my za nimi. Stado rozdzieliło się, a muł został w głównym odziale przy boku siwka,

dając dowód nadzwyczajnej rączości i wytrwałości. Trzymałem się więc tego oddziału, a Sam zamierzał widocznie to samo uczynić.

— Brać w środek, ja z lewej, wy z prawej! — zawołał do mnie.

Dawszy koniom ostrogi, nie tylko dorównaliśmy w szybkości mustangom, lecz nawet dopędziliśmy je, zanim się dostały do lasu. Tam już biec nie mogły, zawróciły więc, aby pomiędzy nami przelecieć. Aby temu zapobiec, zmniejszyliśmy z Hawkensem odległość między sobą, a konie rozprószyły się jak gromada kur, na które jastrząb uderzył. Siwek i muł, oddzieliwszy się od reszty, przemknęły pomiędzy nami, a my popędziliśmy za nimi. Teraz zawołał Sam do mnie, okręcając już lassem nad głową:

— Znowu greenhorn! Zostaniecie nim wiecznie!

— Dlaczego?

— Bo chcecie wziąć siwka, a tak robi tylko greenhorn, hi; hi! hi!

Odpowiedziałem mu, lecz on mnie nie usłyszał, gdyż głośny jego śmiech zagłuszył moje słowa. A więc on sądził, że zamierzyłem się na siwka! Zostawiłem muła jemu i skręciłem na bok, gdzie mustangi pędziły w różnych kierunkach, parskając i rżąc ze strachu. Sam znalazł się już tak blizko muła, że rzucił lasso, którego pętla upadła dobrze i owinęła się do koła szyi zwierzęcia. Teraz musiał Sam osadzić konia i poderwać go wstecz, jak to mnie gorliwie przedtem doradzał, aby wytrzymać szarpnięcie, skoro się lasso napręży. Zrobił też tak, lecz o mgnienie oka zapóźno; konia powaliło to gwałtowne szarpnięcie, gdyż nie zawrócił nie i stanął silnie na nogach w swoim czasie. Sam Hawkens wywinął strasznego koziołka w powietrzu i spadł na ziemię. Koń wstał natychmiast i popędził naprzód. Wskutek tego lasso zwolniało, a muł, który się nie przewrócił, zaczerpnął powietrza i pocwałował dalej, ciągnąc za sobą przez preryę konia; lasso bowiem przywiązane było do kuli u siodła.

Pośpieszyłem do Sama zobaczyć, czy mu upadek nie zaszkodził. On jednak wstał i zawołał:

— Do stu piorunów! Koń Dicka ucieka mi razem z mułem bez pożegnania, jeśli się nie mylę!

— Boli was co?

— Nie. Złaźcie prędko i dajcie mi swego konia!

— Na co?

— Muszę lecieć za zbiegami. No, złaźcie prędzej!

— Ani mi się śni! Narazilibyście się znowu na kozła i oba konie poszłyby do dyabłów.

To rzekłszy, ruszyłem za mułem, który odbiegł już był przestrzeń dość daleką, ale popadł teraz w zatarg z koniem. Koń biegł nieregularnie, zmieniając co chwila kierunek, a to wstrzymywało oczywiście muła, lassem z nim związanego. To też dopędziłem je rychło. Nie używając własnego lassa, chwyciłem za tamto, owinąłem je sobie kilka razy o rękę w nadziei, że opanuję już muła napewno. Pozwoliłem mu z początku biec dalej i cwałowałem z tyłu z obydwoma końmi, ściągając rzemień co raz to mocniej tak, że pętla się coraz więcej zwężała. Udało mi się przy tem do pewnego stopnia kierować zwierzęciem, bo pozornem rozluźnianiem i naprężaniem lassa doprowadziłem do tego, że łukiem zawróciło tam, gdzie stał Sam Hawkens. Teraz ściągnięta nagle pętla zacisnęła się mułowi na szyi tak, że stracił oddech i runął na ziemię.

— Trzymajcie mocno, póki nie pochwycę tego gałgana, a potem puśćcie! — zawołał Sam.

Przyskoczył i pomimo że muł walił nogami na wszystkie strony, stanął tuż obok niego.

— Teraz! — zakomenderował.

Puściłem lasso, muł zaczerpnął powietrza i podniósł się w górę, ale w tej chwili wyskoczył Sam na grzbiet. Zwierzę stało nieruchomo przez chwilę, jak skamieniałe ze strachu, potem jednak zaczęło wyrzucać to przedniemi, to zadniemi nogami. Wtem skoczyło wszystkiemi czterema nogami w bok i wygięło grzbiet jak kot, ale Sam siedział mocno.

— Nie zrzuci mnie! — zawołał. — Teraz spróbuje ostatniego środka i zechce ze mną uciekać. Zaczekajcie tu na mnie, sprowadzę go oswojonego napowrót!

Ale co do tego pomylił się Hawkens. Muł z nim nie uciekł, lecz rzucił się nagle na ziemię i zaczął się tarzać, grożąc temsamem Samowi połamaniem wszystkich żeber: jeździec musiał zejść z siodła. Zeskoczyłem, chwyciłem wlokący się po ziemi koniec lassa i owinąłem je dwukrotnie dokoła dość grubego pnia poblizkiego drzewa. Muł strząsnąwszy z siebie jeźdźca, chciał pognać precz, ale pień wytrzymał, lasso się naprężyło, a pętla ścisnęła znowu silnie szyję zwierzęciu, wskutek czego runęło po raz drugi na ziemię.

Sam Hawkens uchylił się w bok, macał się po żebrach i po nogach, stroił miny, jak gdyby najadł się kiszonej kapusty z powidłami i rzekł:

— Puśćcie tę bestyę; jej nikt nie zmoże, jeśli się nie mylę!

— A toby ładnie było! Nie mogę się dać zawstydzić mułowi, którego ojciec nie był gentlemanem, lecz zwyczajnem osłem. Musi mnie być posłusznym. Uważajcie!

Odwinąłem lasso od pnia i stanąłem nad zwierzęciem szerokim rozkrokiem. Skoro tylko muł dobrze odetchnął, zerwał się z ziemi. Teraz chodziło przedewszystkiem o to, by go silnie ścisnąć nogami, a pod tym względem przewyższałem chyba Hawkensa. Żebro konia powinno się giąć pod naciskiem kolana jeźdźca; to przygniata wnętrzności i powoduje śmiertelną trwogę. Gdy muł użył wszystkich środków, wypróbowanych względem Sama, podniosłem lasso, zwisające mu z szyi na ziemię, zwinąłem je i ująłem silnie tuż za pętlicą. Skoro tylko spostrzegłem, że zwierzę ma zamiar rzucić się na ziemię, zacisnąłem pętlicę przez to, oraz naciskiem kolan utrzymałem je na nogach. Była to ciężka walka, rzekłbym, siła przeciwko sile. Zacząłem się pocić wszystkimi porami, ale i mułowi jeszcze bardziej pot spływał z ciała, a z pyska wielkie płaty piany. Ruszał się coraz to słabiej i mimowolniej, wściekłe parskanie przeszło w krótki kaszel, aż wkońcu padł podemną nie z własnej woli, lecz dlatego, że opuściły go siły. Legł na ziemi bez ruchu z zawróconemi oczyma. Zaczerpnąłem głęboko powietrza, zdawało mi się, że wszystkie żyły i ścięgna we mnie się porwały.

— Heavens, a wy co za człowiek! — zawołał Sam. — Mieliście więcej sił niż to bydlę! Zlęklibyście się, gdybyście zobaczyli swoją twarz!

— Wierzę.

— Oczy wam wyłażą, wargi popuchły, a policzki poprostu czerwone.

— To przydarza się greenhornom, którzy nie dają się zwierzętom zrzucić z grzbietu, gdy tymczasem ktoś inny, mistrz w polowaniu na mustangi, jako mądrzejszy, pozwolił się strącić, przywiązawszy poprzednio własnego konia do muła i puściwszy obydwa na przechadzkę.

Poczciwiec zrobił jeszcze bardziej płaczliwą miną i rzekł głosem przygnębionym:

— Milczcie o tem, sir! Zapewniam was, że nawet najlepszemu myśliwcowi może się coś takiego przytrafić. Mieliście dobre dni wczoraj i dzisiaj.

— Spodziewam się, że więcej takich dobrych dni dożyję. Tem gorsze były one dla was. Jakżeż tam z waszemi żebrami i innemi kosteczkami?

— Nie wiem Pozbieram je i zliczę kiedyś, gdy mi się zrobi lepiej.(Teraz kłapią mi w całem ciele. Takiej bestyi nie miałem jeszcze między nogami! Przypuszczam, że teraz przyjdzie już do rozumu!

— To się już stało. Popatrzcie, jaka zmęczona, aż litość bierze. Założymy jej

uzdę i siodło i pojedziecie na niej do domu.

— Zacznie podskakiwać na nowo!

Nie bójcie się! Dosyć się już nabiegała. To mądre bydlę, z którego schwytania będziecie bardzo uszczęśliwieni.

— Tak sądzę, ale też ja od samego początku upatrzyłem ją sobie, a wy siwka, co było oczywiście ogromnem głupstwem.

— Wiecie to napewno?

— Rozumie się, że było to głupstwo!

— Nie o to mi chodzi, lecz o to, czy rzeczywiście siwka sobie wybrałem.

— A cóż?

— Także muła.

— Naprawdę?

— Tak. Chociaż jestem greenhorn, to jeszcze tyle wiem, że siwek na nic nie przyda się westmanowi. Muł spodobał mi się zaraz na pierwszy rzut oka.

— Trzeba wam przyznać, że posiadacie dobry rozum koński.

— Życzę wam, żeby wasz ludzki był tak samo dobry, kochany Samie! Pomóżcie mi dźwignąć z ziemi muła!

Podnieśliśmy go, on zaś stanął spokojnie, drżąc na całem ciele. Nie opierał się też przy założeniu nań siodła i uzdy. Gdy go Sam dosiadł, był mu posłuszny jak ujeżdżony koń.

— Poznać, że miała już pana — rzekł mały — i to dobrego jeźdźca. Uciekła mu pewnie. Wiecie, jaką jej nazwę dam?

— No?

— Mary. Jeździłem już dawniej na mulicy, która się Mary nazywała, nie potrzebuję więc wymyślać innego imienia.

— A więc muł Mary, a strzelba Liddy!

— Tak, to bardzo miłe imiona, nieprawdaż? Ale, ale muszę was poprosić jeszcze o jedną grzeczność.

— Jaką?

— Nie mówcie o tem, co się tu stało! Przysługę tę będę zawsze bardzo wysoko cenił.

— Co też wygadujecie! Tego, co się samo przez się rozumie, nie ceni się wcale wysoko.

— Ja myślę inaczej. Toby tę bandę w obozie śmiech porwał, gdyby się dowiedziała, w jaki oposób Sam Hawkens przyszedł do swej uroczej Mary! Mieliby gaudium, wielkie gaudium. Jeśli o tem nie wspomniecie, to ja...

— Proszę was, bądźcie cicho! — przerwałem. — Nie traćcie słów niepotrzebnie. Jesteście mym nauczycielem i druhem. To wystarczy.

Jego małe chytre oczka zwilżyły się.

— Tak, jestem wam druhem, sir — zawołał z zapałem — i gdybym wiedział, że darzycie mnie także odrobiną miłości, to serce moje pełne byłoby, rozkoszy i radości.

Podałem mu rękę i odrzekłem:

— Mogę wam sprawić tę uciechę, drogi Samie. Bądźcie pewni, że kocham was tak, no... jak się kocha mniej więcej dobrego, zacnego wuja. Wystarczy wam to?

— W zupełności, sir, w zupełności! Jestem tem tak zachwycony, że chciałbym o ile możności zaraz tu na miejscu wam się odwzajemnić. Powiedzcie, co mam uczynić! Czy mam, czy mam... na przykład tę nową Mary zjeść tu w oczach waszych z kośćmi i skórą? Czy może wolicie, żebym sam siebie zamarynował, poćwiartował i połknął? Czy...

— Wstrzymajcie się! — zawołałem z uśmiechem. — Utraciłbym was w obu wypadkach, bo w pierwszym musielibyście pęknąć, a w drugim zginąć na niestrawność, połknąwszy perukę, której nie zniósłby wasz żołądek. Zrobiliście mi już dość przyjemności i jeszcze nieraz okażecie mi swoją miłość. Darujcie więc na razie życie Mary i sobie i starajcie się, żebyśmy wkrótce do obozu wrócili. Chciałbym pracować.

— A cóżeście tutaj robili? Jeśli to nie była praca, to nie wiem, co pracą nazwać.

Przywiązałem konia Dickowego lassem do mego i odjechaliśmy. Mustangi pouciekały oczywiście już dawno, a muł taki był posłuszny, że Sam kilkakrotnie zauważył:

— Ona przeszła szkołę, ta Mary, bardzo dobrą szkołę! Za każdym krokiem coraz więcej czuję i poznaję, że od teraz będę miał dobrego wierzchowca. Ona przypomina sobie teraz, co niegdyś umiała, a co jej między mustangami z głowy wyleciało. Prawdopodobnie ma nie tylko temperament, lecz także charakter.

— Jeśli go jeszcze nie ma, to możecie ją tego nauczyć. Nie jest jeszcze na to za stara.

— Ile ma lat, jak sądzicie?

— Z pięć, nie więcej.

— Ja też tak myślę. Zbadam później, czy się nie mylę. Wam to zwierzę zawdzięczam, tylko wam. Były to dla mnie dwa dni złe, bardzo złe, ale dla was pełne zaszczytu. Czy przypuszczaliście, że nauczycie się polować na bizony i mustangi w tak krótkich odstępach czasu?

— Czemu nie? Tu na Zachodzie trzeba być przygotowanym na wszystko. Spodziewam się, że poznam jeszcze inne polowania.

— Hm, tak. Życzę wam, żebyście z nich wyszli tak, jak wczoraj i dzisiaj. Zwłaszcza wczoraj życie wasze wisiało na włosku. Nie napominajcie nigdy, że jesteście greenhorn. Ten człowiek pozwala spokojnie zbliżyć się do siebie bawołowi i strzela mu w oczy! Czy to kto widział? Jesteście jeszcze niedoświadczeni i nie doceniacie bizonów. Uważajcie na siebie lepiej w przyszłości i nie ufajcie sobie zanadto! Polowanie na bizona bardzo niebezpieczne. Jest jeszcze tylko jedno bardziej niebezpieczne.

— Jakie?

— Na niedźwiedzia.

— Czy na czarnego z żółtym pyskiem?

— Baribala? Z tego się śmieję, bo bardzo dobroduszny i spokojny, można go nauczyć prasować i haftować. Ja myślę o grizzlim, szarym niedźwiedziu z Gór Skalistych. Pewnie czytaliście o nim, jak zresztą o wszystkiem?

— Tak.

— To się cieszcie, jeżeli nie ujrzycie żadnego. Gdy się podniesie, jest od was wyższy o dwie stopy, a jak raz kłapnie zębami, to wam miazgę z głowy zrobi. Napadnięty i wprawiony we wściekłość nie spocznie, dopóki nie rozszarpie i nie zniszczy wroga.

— Albo wróg jego!

— Oho! Patrzcie, już znowu pokazuje się wasza wielka lekkomyślność! Mówicie o wielkim, niezwyciężonym, szarym niedźwiedziu, jak gdyby chodziło o małego nie groźnego pracza.

— Tak nie jest. Nie lekceważę go sobie, ale też nie zgadzam się na to, że jest niezwyciężony. Nie istnieją zwierzęta drapieżne, którychby nie można pokonać. Tak samo ma się rzecz z grizzlim.

— Czy i to znaleźliście w książkach?

— Tak.

— Hm! Zdaje mi się, że to książki, przez was czytane, są powodem waszej lekkomyślności. Jesteście zresztą człowiekiem rozumnym, jeśli się nie mylę. Potrafilibyście pójść tak samo na szarego niedźwiedzia, jak wczoraj na bizony. — Gdybym nie mógł inaczej, to tak.

— Me mógł inaczej! Głupstwo! Co przez to rozumiecie? Każdy może inaczej, jeśli chce!

— To znaczy, że może uciec, jeżeli jest tchórzem. Czy o tem myślicie?

— Tak, ale o tchórzostwie niema przy tem mowy. To nie tchórzostwo uciekać przed grizzlim. Przeciwnie, zaatakować go jest samobójstwem, czystem samobójstwem!

— Tu się nasze zdania rozchodzą. Gdy mię zaskoczy niespodzianie, a czasu do ucieczki zabraknie, to muszę się bronić. Gdy się rzuci na towarzysza, to idę mu na pomoc. To są dwa wypadki, w których nie mogę, lub nie wolno mi uciekać. Poza tem wyobrażam sobie, że odważny westman zabierze się do szarego niedźwiedzia nawet bez przymusu, po to tylko, żeby dać dowód swej odwagi i unieszkodliwić niebezpiecznego drapieżnika, a przytem pokosztować szynki i łap.

— Jesteście wiecznie niepoprawni, cierpnę o was ze strachu. Dziękujcie Bogu, jeźli nie zaznajomicie się z temi łapami i szynką! Nie taję oczywiście, że to największe przysmaki na ziemi, przewyższające nawet polędwicę bawolą.

— Prawdopodobnie zbyteczne są na razie obawy o mnie. Czyżby i w tych stronach żyły szare niedźwiedzie?

— Czemu nie? Grizzli przebywa we wszystkich górach, posuwa się wzdłuż rzek czasem nawet na preryę. Biada temu, kogo napotka. Przestańmy o tem już mówić!

Nie przeczuwał tak samo jak ja, że już nazajutrz inna potoczy się rozmowa na ten temat i że to niebezpieczne zwierzę wejdzie nam w drogę. Nie starczyło już zresztą czasu na dalsze rozstrząsania tej sprawy, gdyż przybyliśmy już do obozu, który, posunięto tymczasem naprzód o odmierzoną część przestrzeni. Bancroft zabrał się z trzema surveyorami tęgo do roboty, aby wkońcu pokazać, co potrafi. Wywołaliśmy ogólny podziw.

— Muł, muł! — wołano. — Skąd go macie?

— Przysłano mi go — odrzekł Sam poważnie.

— Nie może być! A kto?

— Pospieszną pocztą, pod opaską za dwa centy. Czy chcecie zobaczyć okładkę?

Kilku się zaśmiało, a reszta jęła wyzywać, ale Sam osiągnął swój cel; nie pytano go dalej. Nie zauważyłem, czy wobec Dicka Stone'a i Willa Parkera okazał się skłonniejszym do wynurzeń, gdyż zabrałem się natychmiast do pomiarów, które też dzięki temu postąpiły naprzód tak prędko, że mogliśmy nazajutrz zabrać się już do doliny, gdzie zderzyliśmy się onegdaj z bizonami. Rozmawiając o tem wieczorem, spytałem Sama, czy mogłyby nam bawoły przeszkodzić, ponieważ, jak się zdawało, obrały sobie tamtędy drogę, a dotychczas przeszła tylko przednia straż i należało się przygotować na to, że ukaże się także trzoda główna.

— Nie sądźcie tak, sir — odrzekł on na to. — Bizony nie są głupsze od mustangów. Napędzone przez nas forpoczty wróciły i przestrzegły trzodę, pójdzie ona z pewnością w kierunku całkiem innym i będzie unikała doliny.

Z brzaskiem dnia przenieśliśmy nasz obóz na górną część tej doliny bez udziału Hawkensa, Stona i Parkera, pierwszy z nich bowiem, chcąc ujeździć swoją Mary, udał się na preryę, gdzie schwytaliśmy muła, a tamci dwaj towarzyszyli jemu.

My, jako surveyorzy, zajęliśmy się przedewszystkiem ustawieniem tyczek pomiarowych przy pomocy kilku podwładnych Rattlera. On sam włóczył się z drugimi, nic nie robiąc, po okolicy. Zbliżyliśmy się podczas tego do miejsca, na którem zabiłem niedawno oba bawoły. Nie zauważywszy z pewnej odległości zwłok starego byka, zdziwiłem się niemało, podszedłem bliżej i zobaczyłem szeroki ślad, ciągnący się się ku zaroślom od miejsca, na którem zwierzą leżało. Na szerokość dwu łokci była trawa zgnieciona, jakby ktoś wlókł coś po niej.

— Do stu piorunów! — zawołał Rattler. — Czy coś podobnego jest możliwe. Kiedy zabieraliśmy stąd mięso, przekonałem się przez zbadanie dokładne, że obydwa buhaje były martwo, tymczasem ten miał jeszcze życie w sobie.

— Tak sądzicie?

— Tak jest. A może myślicie, że martwy bawół sam potrafi się oddalić?

— A czy musiał się sam oddalić? Mógł go ktoś inny usunąć.

— Tak? A kto?

— Naprzykład Indyanie. Trochę dalej na północ znaleźliśmy ślad nogi indyańskiej.

— Tak! Jaki rozumny i mądry bywa taki greenhorn! Gdyby byka zabrali Indyanie, to skądby oni się wzięli?

— Skądsiś.

— Bardzo słusznie. Może nawet z nieba spadli! Ja myślę inaczej. W bawole było

jeszcze życie, a gdy odzyskał trochę sił, zawlókł się w zarośla i tam oczywiście zginął.

Rattler poszedł ze swoimi ludźmi za śladem, przypuszczając może, że pospieszę zaraz za nimi, tymczasem ja nie uczyniłem tego, gdyż nie podobał mi się szyderczy ton, jakim do mnie przemawiał, nadto czekała mię: robota. Zresztą było mi dość obojętne, gdzie się podział trup byka. Zabrałem się więc do pracy, ale zaledwie wziąłem tyczkę do ręki, gdy z zarośli zabrzmiały okrzyki przerażenia, huknęły dwa czy trzy strzały i doleciał mnie głos Rattlera:

— Na drzewa, prędko na drzewa, bo śmierć! On nie umie się wspinać!

Kogo miał na myśli, mówiąc, że nie umie się wspinać? Wtem wypadł z zarośli jeden z jego ludzi w skokach, jakie się robi tylko w strachu śmiertelnym.

— Co tam, co tam? — zapytałem głośno.

— Niedźwiedź, olbrzymi niedźwiedź, szary grizli! — stęknął, przebiegają koło mnie.

Równocześnie zakrzyknął jakiś wrzaskliwy głos:

— Na pomoc, na pomoc! Ma mnie! Oh, oh!

Tak ryczeć mógł tylko człowiek, przed którym rozwarła się paszcza śmierci. Groziło mu widocznie wielkie niebezpieczeństwo, należało więc przyjść mu z pomocą. Zostawiłem był strzelbę w namiocie, ponieważ mi przeszkadzała w pracy, przez co nie postąpiłem bynajmniej lekkomyślnie, gdyż jako suryeyorzy mieliśmy do obrony westmanów. Gdybym był poleciał dopiero do namiotu, człowiek ów byłby rozszarpany, zanim zdołałbym do niego powrócić. Musiałem więc pójść tak, jak stałem, tylko z nożem i rewolwerami za pasem. Ale cóż ta broń znaczy wobec szarego niedźwiedzia! Grizli to blizki krewny wymarłego już niedźwiedzia jaskiniowego i należy raczej do czasów przedhistorycznych niż do teraźniejszości. Dochodzi do dziewięciu stóp wysokości, a ja sam zabijałem sztuki, ważące po tyleż cetnarów. Obdarzony jest taką siłą muskułów, że z jeleniem, źrebięciem, lub cielęciem bawołem w pysku biegnie z łatwością. Tylko na rączym i silnym koniu potrafi jeździec przed nim umknąć. Wobec olbrzymiej siły, bezwzględnej nieustraszoności i nieznużonej wytrwałości szarego niedźwiedzia uważają Indyanie jego zabicie za czyn ogromnie zuchwały.

Poskoczyłem w zarośla. Ślad prowadził dalej, aż tam, gdzie zaczynały się drzewa. Tam zawlókł niedźwiedź stadnika i stamtąd też wyszedł był poprzednio, dlatego nie widzieliśmy jego śladów, bo przygniótł je ciężar ciągnionego bizona.

Była to chwila okropna. Za mną wołali suryeyorzy, biegnąc do namiotu po broń,

przedemną krzyczeli westmani, a wśród tego brzmiały wrzaski boleści tego, którego niedźwiedź dostał w swoje łapy.

Zbliżałem się za każdym skokiem. Wtem usłyszałem głos niedźwiedzia, a raczej nie głos, gdyż i tem różni się ten niedźwiedź od innych gatunków, że nie mruczy, lecz w gniewie lub bolu w szczególny sposób parska i prycha głośno i szybko. Nareszcie stanąłem na miejscu. Przedemną leżało zupełnie rozszarpane cielsko bizona, z prawej i lewej strony krzyczeli westmani, którzy prędko pouciekali na drzewa i czuli się tam dość bezpieczni, gdyż rzadko kiedy, a raczej nigdy nie widziano, żeby szary niedźwiedź piął się na drzewo. Poza trupem bawolim sta rał się jeden z westmanów dostać się na drzewo, ale niedźwiedź go przytem zaskoczył. Leżał górną połową ciała na pierwszym nizkim konarze, obejmując pień obu rękami, a grizzli podniósłszy się szarpał przedniemi łapami jego nogi i brzuch. Jeden rzut oka przekonał mię, że ten człowiek przepadł bez ratunku. Mogłem więc teraz uciec bez narażania się na jakiekolwiek zarzuty, ale ten widok podziałał na mnie z nieodporną potęgą. Porwałem jedną z porzuconych strzelb, ale niestety już w niej naboju nie było. Przeskoczyłem przez bawoła i zadałem niedźwiedziowi kolbą z całej siły cios w czaszkę. Ale cóż? Strzelba rozprysnęła się jak szkło w moich rękach, zyskałem jednak tyle przynajmniej, że odwróciłem uwagę niedźwiedzia od ofiary. Zwrócił głowęku mnie, ale nie jak drapieżne zwierzę z gatunku kotów, lub psów, lecz powoli, jakby się zdziwił tym głupim atakiem. Mierząc mnie swojemi małemi oczyma zdawał się namyślać, czy ma zostać przy swojej ofierze, czy mnie pochwycić. Tych kilka chwil ocaliło mi życie, gdyż wpadłem na myśl, w mem położeniu szczęśliwą i jedyną. Wyrwałem z za pasa rewolwer, podbiegłem tuż do niedźwiedzia i strzeliłem mu cztery razy w oczy. Dokonałem tego oczywiście tak prędko, jak tylko mogłem nadążyć, poczem odskoczyłem daleko w bok i stanąłem, przypatrując się, z dobytym nożem.

Gdybym się był nie ruszył z miejsca, byłbym to przypłacił życiem, gdyż oślepione zwierzę puściło czemprędzej drzewo i rzuciło się na miejsce, na którem stałem przed chwilą. Nie znalazłszy mnie tam, zaczął nie, dźwiedź szukać mnie wśród jadowitego sapania i wściekłych uderzeń łapami. Jak szalony kręcił się na wszystkich czterech łapach w kółko, szarpał ziemię, skakał na wszystkie strony, sięgając łapami daleko od siebie, aby mnie chwycić, ale to mu się nie udało, gdyż na szczęście trafiłem dobrze. Byłby go może węch zaprowadził do mnie, ale ta szalona wściekłość zagłuszyła w nim instynkt.

Wreszcie zajął się niedźwiedź swoimi ranami, zaniedbując tego, który je zadał.

Usiadł, podniósł się w tej pozycyi i zaczął sobie, parskając i kłapiąc zębami, przecierać oczy przedniemi łapami. Ja stanąłem czemprędzej przy nim i wbiłem mu dwa razy nóż między żebra. Sięgnął za mną w tej chwili, ale znowu napróżno, gdyż mnie już przy nim nie było. Nie trafiłem go w serce, miał więc jeszcze siły szukać mnie ze zdwojoną zajadłością może przez dziesięć minut. Utracił jednak w czasie tego wiele krwi i zmęczył się widocznie. Potem usiadł napowrót i znów zaczął oczy przecierać, dając mi sposobność do następnych dwu pchnięć nożem, o wiele skuteczniejszych. Odskoczyłem, a on opuścił przednie łapy na ziemię, podbiegł, chwiejąc się i chrapiąc, naprzód, potem w bok i znowu napowrót, chciał się podnieść, ale sił już nie starczyło. Upadł na bok, potoczył się tam i nazad, napróżno starając się wstać. Wreszcie wyciągnął się i legł spokojnie.

— Dzięki Bogu! — krzyknął Rattler z drzewa. — Bestya nie żyje. Byliśmy w okropnem niebezpieczeństwie.

— Nie wiem, na czem ta okropność polegała — odrzekłem. — Przecież postaraliście się o bezpieczeństwo. Teraz możecie zleźć.

— Nie, nie jeszcze! Zbadajcie wpierw, czy naprawdę niedźwiedź zginął.

— To zbyteczne.

— Nie powinniście tak twierdzić. Wy nie macie pojęcia, jak wielką siłę życia posiada takie bydlę. Zbadajcie zatem!

— Czy może dla was? Jeśli chcecie dowiedzieć się, czy żyje, to przekonajcie się sami! Wszak wy słynny westman, a ja greenhorn!

Podszedłem teraz do towarzysza, wiszącego jeszcze w opisanej poprzednio pozycyi. Przestał już był jęczeć i nie ruszał się wcale. Z jego wykrzywionej twarzy patrzyły ku mnie oczy szklannym wzrokiem. Nogi obdarte były z mięsa aż do kości, a z brzucha wypływały mu wnętrzności. Opanowałem odrazę, jaką wzbudził we mnie ten okropny widok i zawołałem: — Puśćcie się, sir! Ja was zdejmę.

Nic nie odpowiedział, ani jednym ruchem nie okazał, że słowa moje rozumie. Poprosiłem jego towarzyszy, żeby z drzew pozłazili i pomogli mi, ale słynni westmani nie dali się do tego nakłonić, dopóki nie przewróciłem kilka razy niedźwiedzia, dowodząc w ten sposób, iż rzeczywiście nie żyje. Wówczas odważyli się zejść i zdjęli zemną okropnie poszarpanego człowieka na ziemię, nie bez trudności, gdyż ramiona jego trzymały silnie drzewo. Trzeba było dopiero odczepić je od gałęzi.

W tem też tkwił niezawodny znak, że towarzysz nie żył.

Ale ten zgon okropny nie zwruszył widocznie jego towarzyszy, gdyż zaraz

odwrócili się od niego ku niedźwiedziowi, a ich dowódca powiedział:

— Teraz będzie odwrotnie: pierwej chciał niedźwiedź nas pożreć, a teraz my pożremy jego. Prędzej ludzie, zdjąć skórę, dobierzmy się do szynki i do łap!

Dobył noża i ukląkł, chcąc wprowadzić zaraz w czyn swój zamiar. Lecz ja zauważyłem:

— Bylibyście w każdym razie zdobyli większy zaszczyt dla siebie, gdybyście, dopóki żył, spróbowali byli na nim swojego noża. Teraz zapóźno. Nie trudźcie się!

— Co? — wybuchnął. — Może mi przeszkodzicie w wykrojeniu pieczeni?

— Oczywiście, mr. Rattler!

— Jakiem prawem?

— Wielkiem i niezaprzeczonem. Ja przecież powaliłem niedźwiedzia.

— To nieprawda. Nie będziecie chyba twierdzili, że greenhorn zabił nożem szarego niedźwiedzia. Myśmy strzelili kilka razy do niego, gdyśmy go ujrzeli.

— A potem pouciekaliście czemprędzej na drzewa; Tak, to prawda, prawda!

— Ale nasze kule dosięgły go i od nich on zginął ostatecznie, a nie od tych kilku ukłuć szpilką, jakie zadaliście mu, gdy już ledwie dyszał. Niedźwiedź nasz, zrobimy z nim, co nam się spodoba. Zrozumiano?

Chciał rzeczywiście zabrać się już do roboty, lecz go przestrzegłem:

— Odstąpcie natychmiast, mr. Rattler, bo nauczę was zważać na moje słowa! Zrozumiano?

Gdy mimo to wjechał nożem w futro niedźwiedzia, pochwyciłem go tak, jak nad nim klęczał, rękami za biodra i cisnąłem nim o najbliższe drzewo, aż zatrzeszczało. W tej chwili gniewu było mi zupełnie obojętnem, czy sobie przytem co połamie, czy nie. Kiedy jeszcze leciał, wyrwałem drugi nabity rewolwer z za pasa, aby się obronić, gdyby się na mnie chciał rzucić. Rattler podniósł się, spojrzał na mnie z wściekłością, dobył noża i zawołał.

— Odpokutujecie wy za to! Uderzyliście mnie już raz, postaram się, żebyście się nie mogli porwać na mnie po raz trzeci!

Już zamierzył się był zrobić krok ku mnie, ale ja skierowałem rewolwer ku niemu i zagroziłem:

— Jeszcze krok, a kulę wam w łeb wpakuję! Precz z nożem! Na „trzy!" strzelam, jeśli jeszcze będziecie go w ręku trzymali. A więc: raz... dwa... i...

On trzymał nóż, wskutek czego ja byłbym strzelił istotnie, może nie w głowę, ale w rękę, gdyż chodziło o to, żeby poczuli szacunek dla mojej osoby, ale

szczęściem nie doszło do tego, gdyż w tej krytycznej chwili zabrzmiał jakiś głos:

— Gents, czyście poszaleli! Jaki może być słuszny powód

do tego, żeby biali karki sobie kręcili! Stójcie!

Spojrzeliśmy w stronę, skąd głos nas doleciał, i ujrzeliśmy człowieka wychodzącego z za drzewa. Był mały, chudy i garbaty, ubrany prawie jak czerwonoskórzec. Trudno było dobrze rozpoznać, czy to był biały, czy Indyanin. Ostre rysy twarzy wskazywały na to drugie, chociaż ta twarz, aczkolwiek opalona od słońca, musiała być kiedyś białą. Z głowy nieokrytej spływały ciemne włosy aż na ramiona. Ubranie jego składało się ze skórzanych indyjskich spodni i takiej samej koszuli myśliwskiej, uzbrojenie zaś stanowiła strzelba i nóż. Spojrzenie miał bardzo inteligentne i mimo ułomnej postaci nie wywoływał wrażenia śmiesznego. Zresztą tylko ludzie ordynarni chyba natrząsają się z niezawinionego błędu cielesnego. Do tego rodzaju ludzi należał Rattler, gdyż ujrzawszy przybysza, zawołał:

— Halloo, cóż to za karzeł i dziwoląg! Czy tu na pięknym Zachodzie bywają tacy ludzie?

Obcy zmierzył go od stóp do głów i odrzekł spokojnie tonem wyższości:

— Dziękujcie Bogu, że was obdarzył zdrowszymi członkami. Zresztą ciało nie odgrywa w człowieku najważniejszej roli, dużo zależy także od serca i ducha, a co do tego nie obawiam się porównania z wami.

Zrobił pogardliwy ruch ręką i zwrócił się do mnie:

— Macie silę w kościach, sir! Rzucić w powietrze tak ciężkiego człowieka nie potrafi ktokolwiek tak łatwo. Rozkosz była popatrzeć na to.

Po tych słowach kopnął niedźwiedzia i ciągnął dalej, jak gdyby żałował:

— A więc to jest ten, którego my chcieliśmy mieć! Szkoda,

że tak nie jest.

— Chcieliście go zabić?

— Tak. Znaleźliśmy wczoraj trop jego i szliśmy za nim w różne strony polem i gąszczem, aż teraz, kiedy dostajemy się na miejsce, rzecz już skończona.

— Mówicie w liczbie mnogiej, sir; nie jesteście sami?

— Nie, zemną są dwaj gentlemani.

— Kto taki?

— Przedstawię ich wam, skoro się dowiem, kto wy jesteście. W tej okolicy nie można być dość ostrożnym, napotyka się więcej złych ludzi, niż dobrych.

Powlókł spojrzeniem po Rattlerze i jego towarzyszach i mówił dalej przyjaźnie:

— Zresztą widać zaraz po gentelmanie, czy można mu zaufać. Słyszałem koniec waszej rozmowy i wiem poniekąd, co mam sądzić.

— Jesteśmy surveyorami, sir, — objaśniłem. — Jeden starszy inżynier, czterej surveyorzy, trzej scouci i dwunastu westmanów dla naszej obrony.

— Hm, co do tego, to wydajecie mi się człowiekiem, niepotrzebującym obrony. A więc jesteście surveyorami. Macie tu jaką czynność?

— Tak.

— A co odmierzacie?

— Kolej.

— Która ma tędy przechodzić?

— Tak.

— Więc zakupiliście te terytorya?

Wzrok jego stał się przy tem pytaniu kłujący, a oblicze mu spoważniało. Miał widocznie powód do tych zapytań, to też odrzekłem:

— Polecono mi wziąć udział w pomiarach, wykonywam też to, nie troszcząc się o resztę.

— Hm, tak! Sądzę jednak, że wiadomo wam, jak o tem myśleć należy. Teren, na którym się znajdujecie, jest własnością Indyan, a mianowicie Apaczów, z plemienia Mescalerów. Twierdzę stanowczo, że ani kraju tego oni nie sprzedali, ani też nie odstąpili w żaden inny sposób.

— Co was to obchodzi? — zawołał do niego Rattler. — Nie kłopoczcie sobie głowy cudzemi sprawami! Lepiej pamiętajcie o swoich!

— Ja też to czynię, sir, czynię, ponieważ jestem Apaczem i do tego Meskalero.

— Wy? Nie dajcie się wyśmiać! Trzebaby ślepym być, żeby nie poznać, że jesteście białym.

— A mimo to się mylicie! Nie sądźcie o mnie z barwy mej skóry, lecz podług imienia. Nazywają mnie Kleki-petra.

To znaczy w języku Apaczów, których dyalektu nie umiałem jeszcze podówczas, tyle, co biały ojciec. Rattler słyszał już widocznie to imię, gdyż postąpił krok naprzód ruchem ironicznego zdumienia i powiedział:

— Ach, Kleki-petra, słynny bakałarz Apaczów! Źle, że jesteście garbaty. Dużo was to trudu pewnie kosztuje, że nie śmieją się z was te czerwone gałgany.

— O, to nic nie szkodzi, sir! Przywykłem do tego, że szydzą ze mnie gałgany, bo ludzie rozsądni tego nie czynią. A teraz, skoro już wiem, kim jesteście i co tu robicie, mogę wam wyjawić, kim są moi towarzysze. Będzie najlepiej, jeśli wam ich pokażę.

Krzyknął jakieś indyańskie słowo ku lasowi, na co ukazały się dwie, nadzwyczaj zajmujące, postaci i z godnością przybliżyły się do nas. Byli to Indyanie i, jak to na pierwszy rzut oka wywnioskowałem: ojciec i syn.

Starszy był nieco więcej niż średniego wzrostu, ale bardzo silnie zbudowany. Z postawy jego biła pewna szlachetność, a z ruchów wnosić należało o wielkiej fizycznej zręczności. Twarz miał typowo indyańską, choć o nie tak ostrych i wyrazistych rysach, jak to zwykle bywa u czerwonoskórców. Oko jego miało wyraz spokojny, niemal łagodny, wyraz cichego wewnętrznego skupienia, które musiało go wynosić nad zwyczajnych współplemieńców. Na głowie nie nosił żadnego okrycia ciemne włosy związane były w kłąb, podobny do hełmu, w którym tkwiło orle pióro na znak godności wodza. Ubranie składało się z mokassynów, opatrzonych frędzlami spodni i ze skórzanej bluzy myśliwskiej. Wszystko bardzo proste i sporządzone nadzwyczaj trwale. Z za pasa wystawał nóż, oraz zwieszało się kilka torebek z drobiazgami, potrzebnymi westmanowi. Na szyi zauważyłem woreczek z lekami i fajkę pokoju z główką, toczoną ze świętej gliny. W ręku trzymał dwururkę, której części drewniane obite były srebrnymi gwoździami. Tą strzelbą, zwaną później strzelbą srebrną, miał się syn jego Winnetou tak bardzo wsławić.

Młodszego strój różnił się od stroju starszego tylko zgrabniejszem wykonaniem. Mokassyny ozdobione były szczecią jeżatki, a szwy spodni i bluzy delikatnemi czerwonemi nićmi. On nosił także na szyi woreczek z lekami, a do tego kalumet. Uzbrojenie stanowiły także, jak u ojca, nóż i dwururka. Głowę miał również okrytą, a włosy związane w węzeł, ale bez pióra. Były tak długie, że mimo węzła opadały mu z tyłu na plecy. Niejedna dama pozazdrościłaby mu tych wspaniałych, aż niebiesko połyskujących włosów. Rysy jego twarzy, jasno brunatnej, z lekkim odcieniem bronzu, odznaczały się jeszcze większą szlachetnością, niż rysy ojca. Jak się teraz domyśliłem, a później dowiedziałem, był w tym samym wieku, co i ja, i zrobił na mnie na pierwszy rzut oka głękokie wrażenie. Czułem, że musi być dobrym człowiekiem i posiadać nadzwyczajne zdolności. Przypatrzyliśmy się sobie nawzajem długiem i badawczem spojrzeniem, a w czasie tego wydało mi się, że z jego poważnych, ciemnych, o aksamitnym połysku, oczu zamigotało na krótką

chwilę przyjazne mi światło jakby pozdrowienie, wysłane otworem w chmurach przez słońce na ziemię.

— Oto moi towarzysze i przyjaciele — rzekł Kleki-petra, wskazując najpierw na ojca, a potem na syna. — To Inczuczuna, wielki wódz Mescalerów, uznany także za dowódcę innych plemion Apaczów. A tu stoi syn jego Winnetou, który pomimo młodości dokonał już więcej dzielnych czynów, niż dziesięciu starych wojowników przez całe życie. Imię jego głosić będą kiedyś i sławić, jak daleko sięgają sawanny i Góry Skaliste.

Brzmiało to trochę przesadnie, ale jak się później przekonałem, nie powiedział on za wiele. Rattler zaśmiał się szyderczo i zawołał:

— Ten młokos miałby takie czyny popełnić? Mówię naumyślnie „popełnić", gdyż czyny jego obracają się z pewnością w zakresie kradzieży, rozbojów i grabieży. Już my to znamy. Wszyscy czerwoni kradną i grabią.

Była to ciężka obelga. Trzej obcy udali, że jej nie słyszeli.

Przystąpili do niedźwiedzia i jęli mu się przypatrywać. Klekipetra pochylił się nad nim i zbadał.

— Zginął od pchnięć, zadanych nożem, a nie od kul — rzekł, zwracając się do mnie.

Słyszał z ukrycia sprzeczkę moją z Rattlerem i chciał tylko stwierdzić, że miałem słuszność.

— To się pokaże — rzekł Rattler. — Co się taki garbaty bakałarz rozumie na polowaniu na niedźwiedzie? Gdy zdejmiemy skórę z niedźwiedzia, zobaczymy, która rana była śmiertelną. Ja nie pozwolę się greenhornowi oszukać w mem prawie.

Na to pochylił się także Winnetou nad niedźwiedziem, dotknął miejsc krwawych i zapytał mnie, wyprostowawszy się napowrót:

— Kto rzucił się z nożem na niego?

Mówił czystą angielszczyzną.

— Ja — odpowiedziałem.

— Czemu mój młody brat nie strzelał?

— Bo nie miałem strzelby przy sobie.

— Tu leżą strzelby!

— Nie są moje. Ci, do których one należą, poodrzucali byli je i powyłazili na drzewa.

— Idąc śladem niedźwiedzia, słyszeliśmy zdala okrzyki strachu. Gdzie to było?

— Tu.

— Uff! Wiewiórki i śmierdziele zmykają na drzewa za zbliżeniem się nieprzyjaciela, mężczyzna jednak powinien walczyć, gdyż, jeśli ma odwagę, to dana mu jest moc pokonania najsilniejszego zwierzęcia. Mój młody biały brat posiadał tę odwagę. Dlaczego nazywają go tu greenhornem?

— Ponieważ po raz pierwszy i dopiero przez krótki czas jestem na Zachodzie.

— Blade twarze, to szczególni ludzie. Nazywają greenhornem młodzieńca, który tylko z nożem w ręku rzuca się na straszliwego grizzli, a tym, którzy ze strachu wyłażą na drzewa i tam wyją z przerażenia, wolno siebie uważać za dzielnych westmanów. Czerwoni są sprawiedliwi; u nich mężny nie może uchodzić za tchórza, a tchórz za mężnego.

— Syn mój słusznie powiedział — potwierdził ojciec trochę gorszą angielszczyzną. — Ta młoda blada twarz, to już nie greenhorn. Kto w ten sposób zabija szarego niedźwiedzia, tego trzeba nazwać wielkim bohaterem. Nadto ten, który to czyni, aby drugich ocalić, powinien się spodziewać z ich strony wdzięczności, nie obelg. Howgh! Wyjdźmy w pole, aby zobaczyć, dlaczego znajdują się blade twarze w tych stronach.

Jakaż różnica między moimi białymi towarzyszami a tymi, pogardzanymi przez nich, Indyanami! Już samo poczucie sprawiedliwości skłoniło czerwonoskórych do oświadczenia się na moją korzyść, co nawet było odwagą z ich strony. Ich było tylko trzech, nie wiedzieli, ile my głów liczymy, narażali się więc na niebezpieczeństwo, robiąc sobie wrogów z naszych westmanów. Ale o tem nie pomyśleli nawet widocznie, bo przeszli obok nas powoli i dumnym krokiem, opuszczając zarośla. My udaliśmy się za nimi. Wtem Inczu-czuna ujrzał wbite w ziemię paliki miernicze, stanął, odwrócił się do mnie i zapytał:

— Co tu się robi? Czy blade twarze chcą ten kraj zmierzyć?

— Tak.

— Na co?

— Aby zbudować drogę dla konia ognistego.

Z oczu jego zniknął wyraz spokojnej zadumy. Rozgorzał gniewem i zapytał pospiesznie:

— Czy ty należysz do tych ludzi?

— Tak.

— Czy mierzyłeś razem z nimi?

— Tak.

— I płacą ci za to?

— Tak.

Obrzucił mnie pogardliwem spojrzeniem, a tak samo pogardliwie odezwał się do Kleki-petry;

— Nauki twoje brzmią bardzo pięknie, ale nie zawsze się sprawdzają. Oto zobaczyliśmy raz młodą bladą twarz z mężnem sercem, szczerem obliczem i rzetelnemi oczyma, a zaledwie spytaliśmy, co ona tu robi, wychodzi na jaw, że przybyła, aby nam za zapłatę kraść ziemię. Twarze białe mogą sobie być dobre, czy złe, wewnątrz jest zawsze jeden taki sam jak drugi!

Uczciwość każe mi wyznać, że nie znalazłem wtedy słów na obronę. W duchu czułem się zawstydzonym, gdyż wódz miał słuszność. Czyż mogłem być dumnym ze swojego zawodu, ja, surowo moralny, chrześcijański mierzyciel kraju?

Starszy inżynier ukrył się był razem z trzema surveyorami w namiocie, wyglądając przez dziurkę w stronę, skąd przybyć miał niedźwiedź. Spostrzegłszy nas, odważyli się wyleźć, wielce zdumieni, a nawet stropieni widokiem Indyan. Przywitali nas oczywiście pytaniem, jak obroniliśmy się przed niedźwiedziem. Rattler odrzekł:

— Zastrzeliliśmy go i w południe będą na obiad łapy niedźwiedzie, a wieczór szynka.

Trzej goście spojrzeli na mnie, jakby pytając, czy do tego dopuszczę.

— A ja twierdzę — rzekłem — że to ja niedźwiedzia zakłułem. Tutaj stoją trzej rzeczoznawcy, którzy przyznali mi słuszność, ale niech to jeszcze nie rozstrzyga. Gdy nadejdą Hawkens, Stone i Parker, wydadzą sąd swój, do którego my się zastosujemy.

— Dyabła mi tam stosować się do nich! — mruknął Rattler. — Pójdę tam z moimi ludźmi, aby niedźwiedzia rozkroić, a kto nam w tem zechce przeszkodzić, dostanie w brzuch pół tuzina kul!

— Nie nadymajcie się tak, bo zaraz będziecie cieńszy, mr. Rattlerze! Ja się tak waszych kul nie boję, jak wy baliście się niedźwiedzia. Mnie nie wpędzicie na drzewo; zapamiętajcie to sobie! Nie sprzeciwiam się temu, żebyście poszli, ale tylko ze względu na naszego zmarłego towarzysza, którego macie pochować. Nie możecie go przecież tak zostawić.

— Zginął kto? — zapytał Bancroft przestraszony.

— Tak, Rollins — odrzekł Rattler. — Ten biedak utracił życie tylko przez cudzą głupotę, bo mógł się ocalić.

— Jak to? Przez czyją głupotę?

— No, zrobił tak, jak my i poskoczył ku drzewu. Byłby wylazł zupełnie dobrze, tymczasem nadbiegł ten greenhorn i w głupi sposób podrażnił niedźwiedzia, który rzucił się potem wściekle na Rollinsa i poszarpał go na sztuki.

To była jednak tak daleko posunięta nieuczciwość, że ze zdziwienia mowy omal nie straciłem. Nie mogłem ścierpieć takiego przedstawienia sprawy i to jeszcze w mej obecności.

Zwróciłem się więc do Rattlera prędko z zapytaniem:

— Czy takie jest wasze przekonanie, mr. Rattlerze?

— Yes! — skinął stanowczo głową i wyciągnął rewolwer, w przypuszczeniu, że napadnę go czynnie.

— Rollins mógł uniknąć śmierci i tylko ja mu przeszkodziłem?

— Yes.

— Ja zaś sądzą, że niedźwiedź go pochwycił, zanim ja nadszedłem!

— Kłamstwo!

— Well, to posłyszycie i poczujecie prawdę!

Po tych słowach wytrąciłem mu lewą ręką rewolwer, a prawą wymierzyłem tak potężny policzek, że potoczył się może o sześć kroków na ziemię. Zerwał się, wyjął nóż z za pasa i przybiegł do mnie, rycząc jak wściekłe zwierzę. Odparowałem pchnięcie nożem lewą ręką, a prawą grzmotnąłem go po głowie tak mocno, że padł nieprzytomny pod moje nogi.

— Uff, uff! — zawołał zdumiony Inczu-czuna, zapominając na widok tego ciosu myśliwskiego o zwykłem indyańskiem panowaniu nad sobą. Ale już w następnej chwili poznałem, że żałował tego uznania.

— To był znowu Shatterhand, — rzekł surveyor Wheeler.

Nie zważałem na te słowa, lecz zwróciłem oczy na kolegów Rattlera. Widziałem, że są wściekli, ale żaden nie odważył się ze mną zaczepić. Zdobyli się tylko na to, że dużo mruczeli i klęli pomiędzy sobą.

— Weźcie się raz porządnie do Rattlera, mr. Bancrofcie! — rzekłem do inżyniera. — Nic mu nie uczyniłem, a on szuka ze mną wciąż zwady. Obawiam się, że w obozie przyjdzie z tego powodu do morderstwa, albo zabójstwa. Odprawcie

go, a jak nie, to ja mogę odejść.

— Oho, sir, tak źle chyba jeszcze nie jest!

— Tak, jest źle. Macie tu jego nóż i rewolwer. Nie oddajcie mu ich, dopóki się nie uspokoi, bo zapewniam was, że będę się bronił, a jeśli jeszcze raz przyjdzie do mnie z bronią w ręku, to go zastrzelę. Nazywacie mnie greenhornem, ale ja znam prawa preryi. Kto mi grozi rewolwerem lub nożem, tego wolno mi zabić na miejscu.

Tyczyło się to oczywiście nie tylko Rattlera, lecz także jego westmanów, którzy na to ani słowem się nie odezwali. Teraz zwrócił się wódz Inczu-cznna do inżyniera:

— Ucho moje usłyszało dopiero co, że ty masz między blademi twarzami prawo rozkazu. Czy jest tak?

— Tak. — odpowiedział zapytany.

— Wobec tego muszę z tobą pomówić.

— O czem?

— Dowiesz się. Stoisz na nogach, ale mężowie powinni siedzieć podczas narady.

— Czy chcesz być naszym gościem?

— To niemożliwe. Jak mogę być twoim gościem, skoro ty znajdujesz się na mojej ziemi, w moim lesie, na mojej dolinie i mojej preryi. Niechaj biali mężowie usiędą. Co to za blade twarze, które tu jeszcze nadchodzą?

— Należą do nas.

— Więc niechaj z nami zasiędą.

Sam, Dick i Will powracali właśnie z przejażdżki. Jako doświadczeni westmani zdziwili się nie mało na widok Indyan, a zaniepokoili się, dowiedziawszy się, kimi oni są.

— Kto jest ten trzeci? — spytał mnie Sam.

— Nazywa się Kleki-petra, a Rattler przezwał go bakałarzem.

— Kleki-petra, bakałarz? Ach, o nim słyszałem, jeśli się nie mylę. To bardzo tajemniczy człowiek, biały, a żyje już długo pośród Apaczów, coś w rodzaju misyonarza, chociaż nie jest kapłanem. Cieszę się, że go widzę. Pomacam go trochę, hi! hi!

hi!

— Jeśli na to pozwoli!

— Nie ukąsi mnie chyba. Czy stało się co jeszcze?

— Tak.

— Co?

— Coś bardzo ważnego.

— To gadajcie, co!

— Zrobiłem to, przed czem ostrzegaliście mnie wczoraj.

— Nie wiem, co macie na myśli. Ostrzegałem was przed wielu rzeczami.

— Grizzli.

— Jak, gdzie, cooo? Był tutaj szary niedźwiedź?

— I jeszcze jaki?

— Gdzieżto, gdzie? Żartujecie chyba!

— Ani mi to w głowie. Za tymi krzakami w lesie. Zawlókł tam starego byka.

— Rzeczywiście, naprawdę? A do stu piorunów, musiało się wtedy właśnie stać, kiedy człowieka nie było. Czy zginął kto?

— Rollins.

— A wy? Jak wyście postąpili? Trzymaliście się chyba zdaleka?

— Tak.

— To słuszne! Ale nie chce mi się w to uwierzyć.

— Możecie spokojnie uwierzyć. Trzymałem się o tyle zdaleka, że mi nie mógł nic zrobić, ja zaś jemu wbiłem nóż między żebra.

— A to wy mądrzy jesteście! Zaatakowaliście go nożem?

— Tak, bo strzelby nie miałem.

— Co za człowiek! Prawdziwy, rzetelny, greenhorn. Wziął z sobą umyślnie ciężką strzelbę na niedźwiedzie, a gdy jednego spotkał, strzela nożem zamiast z rusznicy. Czy uważałby kto coś podobnego za możliwe? Jakżeż do tego przyszło?

— Tak, że Rattler twierdzi, iż to nie ja położyłem niedźwiedzia trupem, lecz on.

Opowiedziałem mu, jak się wszystko odbyło, i jak się potem znowu starłem z Rattlerem.

— Człowiecze, jesteście rzeczywiście lekkoduchem nie do uwierzenia! — zawołał. — Nie widział nigdy jeszcze szarego niedźwiedzia i idzie nań jak na starego pudla! Muszę się natychmiast przypatrzyć zwierzęciu. Chodźcie, Dicku i Willu! Zobaczcie wy także, jakie głupstwo popełnił znowu ten greenhorn.

Chciał się oddalić, ale w tej chwili przyszedł Rattler do siebie, Sam zaś zwrócił

się doń ze słowami:

— Słuchajcie, mr. Rattlerze, mam coś wam powiedzieć. Zaczepiliście znowu mojego młodego przyjaciela. Gdybyście się jeszcze raz poważyli, postaram się o to, żeby się to wogóle już więcej nie stało. Moja cierpliwość się skończyła. Zapamiętajcie to sobie!

Po tem ostrzeżeniu opuścił nas w towarzystwie Stone'a i Parkera. Na twarzy Rattlera odbiła się wściekłość, rzucał na mnie pełne nienawiści spojrzenia, ale milczał. Podobny był do miny, mającej wybuchnąć za chwilę.

Obaj Indyanie usiedli na trawie razem z Kleki-petrą, a inżynier naprzeciwko nich, lecz rozmowa nie zaczęła się jeszcze. Czekali na powrót Sama i jego wyrok. Wrócił on niebawem i zawołał już zdala:

— Co za głupota strzelać do niedźwiedzia, a potem zmykać.

Jeśli się nie chce stanąć z nim do walki, nie strzela się wogóle, lecz zostawia go się w spokoju, wówczas nic nikomu nie zrobi.

Ten Rollins okropnie wygląda! Któż to zabił niedźwiedzia?

— Ja — zawołał Rattler pospiesznie.

— Wy? A czem?

— Kulą.

— Well, to się zgadza — to słuszne!

— Tak też myślałem.

— Tak, niedźwiedź zginął od kuli.

— A więc należy do mnie. Słuchajcie, ludzie! Sam Hawkens oświadczył się za mną — krzyczał Rattler z tryumfem.

— Tak, za wami. Wasza kula przeszła mu po głowie i urwała czubek ucha. Wskutek utraty takiego czubka ginie grizzli oczywiście na miejscu, hi! hi! hi! Jeśli to prawda, że kilku wypaliło naraz, to trafili właśnie poza niego ze strachu. Tylko jedna kula musnęła go w ucho, poza tem z kul ani śladu. Są natomiast cztery tęgie znaki od noża: dwa w okolicy serca, a dwa na wprost serca. Ale kto go pchnął nożem?

— Ja — odpowiedziałem.

— Tylko wy?

— Nikt więcej.

— Wobec tego niedźwiedź jest wasz, to znaczy, futro jest wasze, do mięsa mają prawo wszyscy, ponieważ stanowimy towarzystwo, tylko wy je musicie rozdzielić.

Taki zwyczaj panuje na dzikim Zachodzie. Cóż wy ma to, mr. Rattlerze?

— Niech was dyabeł porwie!

Rzucił jeszcze kilka przekleństw i poszedł do wozu, na którym leżała baryłka brandy. Nalał sobie wódki do szklanki i wypił co tchu. Byłem pewien, że będzie pił, dopóki tylko zdoła.

Sprawa była już załatwiona, przeto Bancroft wezwał wodza Apaczów, by przedłożył swoje życzenia.

— To, co chcę wypowiedzieć, nie jest życzeniem, to rozkaz — odrzekł dumnie Inczu-czuna.

— A my nie przyjmujemy rozkazów — zapewnił taksamo dumnie inżynier.

Przez twarz wodza przemknęło coś jakby gniew, lecz pohamował się i rzekł spokojnie:

— Mój biały brat odpowie mi na kilka pytań, ale zgodnie z prawdą. Czy posiada swój dom tam, gdzie mieszka?

— Tak.

— I ogród przy tem?

— Tak.

— Czy mój brat zniósłby, żeby mu sąsiad budował drogę przez ogród?

— Nie.

— Krainy po tamtej stronie Gór Skalistych i na wschód od Mississipi należą do bladych twarzy. Jakby się one zapatrywały na to, gdyby Indyanie przyszli tam budować drogi żelazne?

— Wypędziłyby ich.

— Mój brat nie minął się z prawdą. Tymczasem blade twarze wciskają się tu do kraju, który do nas należy, wyłapują nam mustangi, zabijają nasze bawoły i szukają u nas złota i drogich kamieni. Teraz zamierzają nawet wybudować długą, długą, drogę, po której ma biec ich koń ognisty. Tą drogą przyjeżdżać będzie co raz więcej bladych twarzy, będą na nas napadać i zabierać powoli tę odrobinę, którą nam jeszcze pozostawiono. Cóż my na to powiemy?

Bancroft milczał.

— Czyż mamy mniej prawa niż wy? Nazywacie siebie chrześcijanami i mówicie ciągle o miłości, utrzymujecie jednak przytem, że wolno wam nas okradać i ograbiać, a żądacie, byśmy byli wobec was uczciwi. Czy to jest miłość? Powiadacie, że Bóg wasz jest dobrym ojcem czerwonych i białych ludzi, a tymczasem on jest

dla nas tylko ojczymem, a dla was ojcem prawdziwym. Czyż cały ten kraj nie należał do mężów czerwonych? Odebrano nam go i co dostaliśmy za to? Nędzę, nędzę i nędzę! Wypieracie nas coraz to dalej i spychacie razem tak, że wkrótce się już podusimy. I dlaczegóż wy to czynicie? Czy może z potrzeby, z braku ziemi? Nie, tylko z chciwości, bo w krajach waszych jest jeszcze miejsce dla wielu, wielu milionów. Każdy z was chciałby posiadać całe państwo, cały kraj, czerwony zaś, prawowity właściciel, nie ma gdzie głowy położyć. Kleki-petra, który tu obok mnie siedzi, opowiadał mi o waszej świętej księdze. Można tam wyczytać, że pierwszy człowiek miał dwu synów, z których jeden zabił drugiego tak, że krew zabitego wołała o pomstę do nieba. Jak się ma rzecz z czerwonym i z białym bratem? Czyż wy nie jesteście Kainem, a my Ablem, którego krew woła o pomstę do nieba? Wy jeszcze wymagacie od nas, żebyśmy się pozwolili mordować, nawet bez obrony! Nie, my się bronimy! Pędzono nas z miejsca na miejsce co raz to dalej i dalej. Teraz tutaj mieszkamy. Zdawało nam się, że wypoczniemy i odetchniemy spokojnie, ale wy znów przychodzicie wytyczać drogę żelazną. Czy nam nie przysługuje takie same prawo, jak tobie w twoim ogrodzie? Gdybyśmy chcieli z praw naszych korzystać, musielibyśmy wytracić was wszystkich. Ale my życzymy sobie tylko, żeby wasze prawa miały i wobec nas znaczenie. Czy tak jest? Nie! Wasze prawa mają dwie twarze, wy odwracacie je ku nam, jak wam korzystniej. Chcesz tutaj drogę budować. Czy pytałeś nas o pozwolenie?

— To niepotrzebne.

— Czemu? Czy to wasz kraj?

— Tak sądzę.

— Nie, on do nas należy. Czy kupiłeś go od nas?

— Nie.

— Czy darowaliśmy ci go?

— Mnie nie.

— I nikomu innemu. Jeśli jesteś człowiekiem uczciwym i przychodzisz tu budować drogę dla konia ognistego, to powinieneś był spytać najpierw tego, który cię wysłał, czy on ma prawo do tego, a gdyby tak utrzymywał, zażądać dowodu. Tego jednak nie uczyniłeś. Zakazuję wam mierzyć tu dalej!

Ostatnie słowa wypowiedział z naciskiem, w którym brzmiała surowa stanowczość. Ten Indyanin wprawił mnie w zdumienie. Czytałem wiele książek o Indyanach i wiele mów, przez nich wygłoszonych, ale z taką się jeszcze nie spotkałem. Inczu-czuna mówił wyraźną, jasną, angielszczyzną, a logika jego,

zarówno jak sposób wyrażania się były dziełem inteligentnego człowieka. Czyżby te zalety zawdzięczał bakałarzowi Kleki-petrze?

Starszy inżynier był w wielkim kłopocie. Jeśli chciał uczciwie wyznać prawdę, to nie mógł zbić tego oskarżenia. Przedstawił wprawdzie to i owo, ale były to same wykręty, wnioski fałszywe. Gdy wódz, zabrawszy znów głos, przycisnął go do muru, zwrócił się do mnie:

— Sir, czy nie słyszycie, o czem mowa? Zajmijcie się tą sprawą i dorzućcie coś także!

— Dziękuję, mr. Bancrofcie! Jestem tu surveyorem, a nie adwokatem. Róbcie, co chcecie. Mnie kazano mierzyć, a nie mowy wygłaszać.

Na to zauważył wódz stanowczo:

— Dalszych mów nie potrzeba. Oświadczyłem już, że was tu nie ścierpię. Chcę, żebyście dziś jeszcze wrócili tam, skąd przyszliście tutaj. Zastanówcie się, czy posłuchacie, czy nie. Ja odejdę teraz z synem Winnetou i zjawię się tu znowu po upływie czasu, który blade twarze nazywają godziną, po odpowiedź. Jeśli opuścicie te strony, będziemy braćmi, w przeciwnym razie wykopie się topór wojenny między nami i wami. Jestem Inczu-czuna, wódz wszystkich Apaczów.

Powiedziałem. Howgh!

Howgh jest indyańskim wyrazem, służy do nadania dobitności temu, co się powiedziało, a znaczy tyle, co amen, basta, tak będzie, a nie inaczej! Inczu-czuna powstał, a Winnetou także. Przeszli zwolna dolinę, aż zniknęli na skręcie. Kleki-petra pozostał na miejscu. Inżynier zwrócił się do niego i prosił o radę. Stary odrzekł:

— Róbcie, co chcecie, sir! Ja mam to samo zdanie, co dowódca. Na czerwonej rasie dokonywa się ustawicznie zbrodni. Ale jako biały wiem, że Indsman nadaremnie się broni. Jeżeli nawet pójdziecie dziś stąd, zjawią się jutro inni, którzy dokończą waszego dzieła. Ale pragnę was przestrzec.

Wódz myśli o tej sprawie poważnie.

— Gdzie on poszedł?

— Po nasze konie.

— Macie je z sobą?

— Naturalnie. Poznawszy, że zbliżamy się już do niedźwiedzia, ukryliśmy je, bo szarego niedźwiedzia nie szuka się na koniu w kryjówce.

Powstał i oddalił się także, aby się uwolnić od ponownych pytań i nalegań.

Poszedłem za nim i mimo to zapytałem:

— Sir, pozwólcie, że wam będę towarzyszył. Przyrzekam, że nie powiem, ani nie zrobię niczego, coby was mogło wprawić w kłopot. Inczu-czuna i Winnetou nadzwyczajnie mnie zajęli.

Że i jego osoba mnie zaciekawiła, tego już nie chciałem mu powiedzieć.

— Tak, chodźcie trochę, sir — odrzekł. — Odsunąłem się od białych, porzuciłem ich sposób życia i nie chcę już więcej nic o nich słyszeć, ale wy podobaliście mi się, więc przejdziemy się razem. Wydajecie mi się najrozsądniejszym z tych wszystkich ludzi. Czy mam słuszność?

— Jestem najmłodszym i wcale nie takim, żebym się mógł podobać. Mój wygląd nadaje mi zapewne pozorów znośnie dobrodusznego człowieka.

— Przeciwnie, przekonałem sie, że dzielni jesteście, jak mniej więcej każdy Amerykanin.

— Nie jestem Amerykaninem.

— A czemże, jeśli się tem pytaniem nie naprzykrzę?

— Bynajmniej. Nie mam powodu kryć się z ojczyzną, którą bardzo kocham. Jestem Niemiec.

— Niemiec? — rzekł, podniósłszy głowę. — W takim razie pozdrawiam cię, ziomku! Ja także Niemiec, a zupełny Apacz! Czy wam się to nie wydaje niezwykłem?

— Niezwykłem nie. Drogi Boże wyglądają często cudownie, a zawsze są naturalne.

— Drogi Boże? Czemu pan mówi o Bogu, a nie o losie, opatrzności, przeznaczeniu?

— Bo jestem chrześcijaninem i nie pozwolę sobie wydrzeć mojego Boga.

— Słusznie. Pan szczęśliwy człowiek! Tak, pan ma słuszność. Drogi Boże wyglądają często cudownie, ale są zawsze bardzo naturalne. Największe cuda są skutkiem naturalnych praw, a najpowszedniejsze zjawiska przyrody wielkimi cudami. Niemiec, uczony, znany badacz i rzetelny Apacz, to wygląda dziwnie, ale droga, którą do tego celu doszedłem, była całkiem naturalna.

O ile wziął mnie z sobą prawie niechętnie, o tyle ucieszył się teraz, że się mógł wygadać. Poznałem wkrótce, że to był niezwykły charakter, ale unikałem wszelkich pytań o jego przeszłość. On nie kierował się tym względem i śmiało pytał o moje stosunki, na co ja mu tak obszernie odpowiadałem, jak sobie tego

życzył. Nie odszedłszy daleko od obozu, usiedliśmy pod drzewem. W czasie rozmowy przypatrzyłem się dokładnie wyrazowi jego twarzy. Życie wyryło na niej głębokie runy, podłużne łysy strapienia, poprzeczne myślniki wątpliwości, zygzaki biedy, troski i niedostatku. Ileż to razy zapewne spoglądało oko jego posępnie, groźnie, gniewnie, trwożliwie, może nawet z rozpaczą, a teraz było jasne i spokojne, jak leśne jezioro, którego tafli ani wietrzyk nie mąci, które jednak jest tak głębokie, że nie można zobaczyć, co na jego dnie się dzieje. Usłyszawszy odemnie wszystko, co było godne wspomnienia, kiwnął zlekka głową i rzekł:

— Pan stoi u początku tych walk, do których kresu ja już doszedłem; dla pana jednak będą one tylko powierzchowne, a nie wewnętrzne. Nad panem czuwa Bóg, który pana nigdy nie opuści. Ze mną było inaczej. Ja straciłem Boga po wyjeździe z ojczyzny; zamiast bogactw, jakie daje wiara, zabrałem z sobą rzecz najgorszą, jaką człowiek posiadać może: nieczyste sumienie.

Przy tem wyznaniu spojrzał na mnie badawczo. Widząc spokój na mej twarzy, zapytał:

— Czy to pana nie trwoży?

— Nie.

— Ależ nieczyste sumienie! Pomyśl pan tylko o tem!

— Eh! Złodziejem, ani mordercą pan nie był. Pan nie był zdolny do takich instynktów.

Uścisnął moją rękę i mówił dalej:

— Dziękuję panu serdecznie! A jednak pan się pomylił. Byłem złodziejem, gdyż ukradłem wiele, bardzo wiele! Byłem także mordercą. Ileż to dusz ja pomordowałem! Działałem jako nauczyciel wyższej szkoły; gdzie, o tem zamilczę. Największą moją dumą było uchodzić za wolnomyślnego, detronizować Boga i dowodzić do ostatka, że wiara w Boga to niedorzeczność. Będąc dobrym mowcą, porywałem słuchaczy. Nasienie chwastu, rozrzucane przezemnie pełnemi rękoma, schodziło bujnie, ani jedno ziarnko nie poszło na marne. Byłem więc masowym złodziejem i rozbójnikiem, który w masach zabijał wiarę w Boga i zaufanie do niego. Nastały czasy rewolucyi. Kto Boga nie uznaje, dla tego też król, ani żadna władza świętą nie będzie. Wystąpiłem otwarcie jako przywódca niezadowolonych; spijali mi poprostu z ust słowa, tę oszołomiającą truciznę, którą ja oczywiście uważałem za lekarstwo. Zbiegali się gromadami i porywali za broń. Iluż to padło ich w boju! Ale nie tylko ich mordercą ja się stałem, inni pomarli później w murach więziennych. Mnie śledzili oczywiście pilnie, ale szczęśliwie umknąłem i

porzuciłem ojczyznę, bez zmartwienia. Nie płakała na mną ani jedna dusza kochająca; nie miałem już ani ojca, ani matki, ani siostry, ani innych krewnych. Nie zwilżyło się za mną ani jedno oko, ale zato inni płakali przezemnie! Lecz o tem nie myślałem wówczas wcale; uświadomienie pod tym względem uderzyło we mnie później jakby pałką, że omal nie runąłem na ziemię. W dniu, w którym się dostałem nad zabezpieczającą mnie granicę, ścigała mnie policya i nastppowała już na pięty. Przechodziłem przez ubogą wioskę fabryczną. Idąc za tak zwanym przypadkiem, pobiegłem przez mały ogródek do nędznego domku, gdzie nie wymieniając nazwiska, powierzyłem się opiece jakiejś staruszki i jej córki, które znalazłem w nizkiej izdebce. Ukryły mnie ze względu na mężów, za których kolegę mnie uważały. Siadły potem przy mnie w ciemnym kącie i zaczęły opowiadać wśród gorzkich łez o swoich strapieniach. Dawniej były ubogie wprawdzie, lecz zadowolone; córka wyszła była za mąż dopiero przed rokiem. Mąż jej usłyszał jedną z moich mów i dał się jej uwieść. Na następne zebranie przyprowadził z sobą teścia, na którego trucizna także podziałała. Przyprawiłem tych czworo zacnych ludzi o utratę szczęścia. Młody zginął potem na polu walki, lecz bynajmniej nie na polu chwały, a starego skazano na kilkuletnie więzienie. To opowiedziały mi kobiety, które ukryły mnie, winnego ich nieszczęścia. Moje nazwisko wymieniły jako imię uwodziciela. To było uderzenie pałką, które mnie ugodziło nie w głowę, ale w duszę. Kara Boża nie długo kazała na siebie czekać. Wolności nie utraciłem, ale w duszy znosiłem męczarnie, na jakie żaden sędzia nie potrafiłby mnie skazać. Błąkałem się z jednego państwa do drugiego, czepiałem się wszystkiego, ale nigdzie nie zaznałem spokoju, bo sumienie dręczyło mnie okropnie. Ileż to razy byłem blizki samobójstwa, a zawsze powstrzymała mnie od tego jakaś ręka... ręka Boża. Zawiodła mnie ona po wielu latach udręczeń i skruchy do pewnego proboszcza w Kanzas. Odgadł on stan mojej duszy i nalegał, bym mu się zwierzył. Uczyniłem to na swoje szczęście. Po długich okresach zwątpienia znalazłem nareszcie przebaczenie, pociechę, silną wiarę i spokój wewnętrzny. Wielki Boże, jakże ci za to dziękuję!

Tu przestał, złożył ręce i zwrócił błyszczący wzrok ku niebu. Potem znów ciągnął dalej:

— Aby się wewnęrznie umocnić, unikałem świata i ludzi i udałem się w lasy. Ale nie tylko wiara uszczęśliwia; drzewo jej powinno także rodzić owoce czynów. Chciałem działać o ile możności w przeciwnym niż dotąd kierunku. Wtem ujrzałem czerwonego człowieka, broniącego się rozpaczliwie przed zagładą, ujrzałem morderców, grzebiących w jego ciele i serce napełniło mi się gniewem,

miłosierdziem i żalem. Losy czerwonego były już postanowione, ocalić go nie mogłem, ale jedno było możliwe: śmierć uczynić mu lżejszą i ostatnią godzinę opromienić blaskiem miłości i przebaczenia. Poszedłem między Apaczów i starałem się przystosować swoją działalność do ich indywidualności. Pozyskałem ich zaufanie i dziś już patrzę na wyniki swej pracy. Chciałbym, żebyś pan poznał Winnetou: dzieło, do którego własności najbardziej się przyznaję. Ten młodzieniec, to wysoce uzdolniona osobistość. Gdyby był synem księcia europejskiego, zostałby wielkim wodzem, a jeszcze większym władcą pokoju. Jako syn naczelnika indyjskiego zginie jak cała jego rasa. O gdybym dożył tego dnia, kiedy nazwie się chrześcijaninem! Jeśliby to nie miało nastąpić, to pragnę przynajmniej aż do chwili śmierci być przy nim w każdej przygodzie, niebezpieczeństwie i potrzebie. To moje dziecko, kocham go więcej niż siebie samego, a gdyby mi kiedy przypadło to szczęście, żeby przeznaczona dlań kula w mojem sercu ugrzęzła, umarłbym z radością za niego i z myślą, że ta śmierć jest ostatnią pokutą, za moje grzechy dawniejsze.

Zamilkł, spuściwszy głowę. Wzruszony do głębi jego wyznaniem, nie odzywałem się, każda bowiem uwaga w tej chwili musiałaby brzmieć trywialnie. Ująłem go tylko za rękę i uścisnąłem serdecznie. Zrozumiał mnie i odpowiedział lekkiem skinieniem głowy i uściskiem. Po długiej dopiero chwili zapytał z cicha.

— Skąd to poszło, że wynurzyłem się przed panem? Widzę pana po raz pierwszy, a może i ostatni zarazem. A może to zrządzenie Boskie, że się z panem tutaj zetknąłem? Uważa pan, że ja, dawniejszy odstępca, staram się teraz wszystko uzależniać od wyższej woli? Tak mi teraz dziwnie, tak mi smutno, ale ten smutek nie jest uczuciem bolesnem. Podobny nastrój przychodzi, kiedy liście spadają w jesieni. Jak też liść mojego życia spadnie z drzewa? Czy cicho, lekko, spokojnie, czy też odłamie go co przed czasem?

Spojrzał jakby w cichej, nieświadomej, tęsknocie w dolinę, skąd zbliżali się Inczu-czuna i Winnetou. Jechali teraz na koniach, a luźnego Kleki-petry prowadzili z sobą. Powstaliśmy, by się udać do obozu, gdzie przybyliśmy równocześnie z nimi. Rattler stał o wóz oparty z nabrzmiałą czerwoną twarzą i wypatrzył się na nas. Ten zezwierzęcony człowiek wypił przez ten czas tyle, że już nie mógł pić więcej. Wzrok miał podstępny jak byk, przygotowujący się do ataku. Postanowiłem nie spuszczać zeń oka.

Wódz i Winnetou pozsiadali z koni i przystąpili do nas.

— Czy moi biali bracia rozważyli, czy mają pozostać tu, czy odejść? — zapytał

Inczu-czuna.

Starszy inżynier wpadł na pomysł pośredniczący i odrzekł:

— Gdybyśmy nawet chcieli odejść, to nie moglibyśmy, gdyż musimy zostać stosownie do wydanych nam rozkazów. Pchnę dziś jeszcze posłańca do Santa Fé po rozporządzenie, gdy on wróci, będę mógł odpowiedzieć.

Było to nieźle pomyślane, gdyż zanimby posłaniec powrócił, moglibyśmy skończyć robotę. Ale wódz rzekł stanowczo:

— Nie będę czekał tak długo. Biali bracia muszą oświadczyć natychmiast, co uczynią.

Rattler napełnił sobie czarkę wódką i podszedł ku nam. Sądziłem, że coś przeciwko mnie zamierza, on jednak zbliżył się do Indyanina i rzekł bełkocząc:

— Jeżeli Indsmani wypiją ze mną, to spełnimy ich wolę i odejdziemy, inaczej nie. Niechaj młody zaczyna. Masz tu wodę ognistą, Winnetou!

Podał mu czarkę, lecz Winnetou odstąpił z ruchem odmownym.

— Co, nie chcesz napić się ze mną? To straszna obelga. Bryznę ci w twarz, obrzydła czerwona skóro. Zliż wódkę, skoro pić nie chcesz!

Zanim kto zdołał temu przeszkodzić, rzucił młodemu Apaczowi czarkę w twarz razem z zawartością. Wedle pojęć indyańskich była to śmierci godna obraza, którą też, choć nie tak srodze, ukarano natychmiast. Winnetou uderzył Rattlera pięścią w twarz tak silnie, że ten runął na ziemię i z trudem tylko się podniósł. Przygotowałem się już, by wkroczyć, gdyby wybuchła bójka, ale do tego nie przyszło. Uderzony wypatrzył się tylko groźnie na młodego Apacza i klnąc położył się do wozu.

Winnetou obtarł się i zachował tak samo jak ojciec zimną, niewzruszoną minę, po której niepodobna było poznać, co wewnątrz w nim się działo.

— Pytam znowu — rzekł wódz — ale po raz ostatni. Czy blade twarze opuszczą jeszcze dziś tę dolinę?

— Nam nie wolno — brzmiała odpowiedź.

— To my ją opuścimy. Niema między nami pokoju.

Spróbowałem jeszcze pośredniczyć, ale napróżno; wszyscy trzej odeszli do koni. Wtem zabrzmiał głos Rattlera:

— Precz, wy psy czerwone! Ale za policzek zapłaci mi ten młodzieniec natychmiast!

Dziesięćkroć prędzej, niż się tego po jego stanie można było spodziewać, wziął

strzelbę z wozu i zmierzył się do Winnetou, który stał w tej chwili wolno, niczem nie kryty. Kula byłaby go napewno dosięgła, gdyż wszystko odbyło się tak prędko, że go żaden ruch nie mógł ocalić. Wtem krzyknął Kleki-petra:

— Odejdź, Winnetou, prędzej odejdź!

Równocześnie przyskoczył, aby zasłonić sobą młodego Apacza. Huknął strzał, Kleki-petra, obrócony do połowy uderzeniem kuli, chwycił się ręką za serce, zachwiał się w jedną i w drugą stronę i padł na ziemię. W tej chwili runął Rattler powalony pięścią przezemnie. Aby zapobiec strzałowi, poskoczyłem szybko ku niemu, ale niestety za późno. Podniósł się ogólny krzyk zgrozy, tylko obaj Apacze nie wydali głosu z siebie. Uklękli obok przyjaciela, który się za ulubieńca poświęcił i badali w milczeniu ranę. Kula wbiła się w piersi tuż koło serca, a krew buchała gwałtownie. Pośpieszyłem tam także. Kleki-petra miał oczy zamknięte, a twarz bladła mu z gwałtowną szybkością.

— Weź głowę jego na kolana — poprosiłem Winnetou. — Gdy oczy otworzy i zobaczy ciebie, lżej mu będzie umierać.

Bez słowa na ustach poszedł młody Indyanin za mojem wezwaniem; nie drgnęła mu ani powieka, tylko wzroku nie odwracał od twarzy gasnącego, który tymczasem zwolna oczy otworzył. Ujrzał Winnetou pochylonego nad sobą, uśmiech szczęścia przebiegł mu zapadłe oblicze.

— Winnetou, szi ya Winnetou; Winnetou, o mój synu Winnetou! — wyszeptał słabo.

Potem wydało się, że jego gasnące oko szuka jeszcze kogoś — spoczęło na mnie.

— Zostań pan przy nim... — rzekł Kleki-petra po niemiecku — wierny... prowadź dalej... moje dzieło...

— Zrobię to. Napewno, zrobię to!

Twarz jego nabrała prawie nadziemskiego wyrazu. Zaczął się modlić zamierającym głosem:

— Oto spada mój liść... odłamany... nie cicho i lekko... to ostatnia pokuta... Umieram jak... jak sobie... życzyłem ... Panie Boże, przebacz... przebacz!... Łaski... łaski...! Idę... idę... łaski!

Skrzyżował ręce. Po jeszcze jednym kurczowym wybuchu krwi z rany głowa mu wstecz opadła... Już nie żył.

Teraz wiedziałem już, co skłoniło go do wywnętrzenia się przedemną.

Wspomniał o zrządzeniu Bożem. Pragnął zginąć w obronie Winnetou i jakże rychło spełniło się to życzenie! To była jego ostatnia pokuta, którą tak chciał odbyć. Bóg jest miłością i miłosierdziem i nie gniewa się wiecznie na skruszonego.

Winnetou ułożył głowę zmarłego na trawie, wstał powoli i spojrzał pytająco na ojca.

— Tam leży morderca, którego obaliłem — rzekłem. — Zostawiam go wam.

— Wodę ognistą!

Z ust wodza wyszła tylko ta krótka odpowiedź, lecz ileż w niej było pogardliwej złości.

— Będę waszym przyjacielem i bratem. Pójdę z wami! — wyrwało mi się z ust przemocą.

Na to plunął mi on w twarz, mówiąc:

— Parszywy psie! Złodzieju ziemi za pieniądze! Smrodliwy kujocie! Ośmiel się pójść za nami, a zmiażdżę cię!

Komu innemu byłbym odpowiedział pięścią na tę obelgę. Czemuż tego nie zrobiłem względem niego? Czy jako wciskający się w cudze dziedziny zasłużyłem może na karę? Pogodziłem się z tem raczej bezwiednie, ale jeszcze raz się narzucić — nie mogłem mimo przyrzeczenia, danego zmarłemu.

Biali stali w milczeniu dokoła, czekając, co uczynią Apacze. Ci, nie spojrzawszy już na nas ani razu, posadzili trupa na konia, przywiązali go doń, potem wsiedli na swoje i podtrzymując chylące się zwłoki Kleki petry, odjechali. Nie rzucili ani słowa groźby lub zemsty, nie odwrócili się ani na chwilę ku nam, ale to było gorsze, o wiele gorsze, niż gdyby nam byli zaprzysięgli śmierć najstraszniejszą.

— To było okropne, a może jeszcze okropniej się skończyć — odezwał się Sam Hawkens. — Tam leży ten łajdak ciągle jeszcze bez życia po waszem uderzeniu i po wódce. Co z nim teraz zrobimy?

Nie odpowiedziawszy na to, osiodłałem konia i odjechałem, chcąc oddać się samotności, aby przynajmniej zewnętrznie przezwyciężyć okropności tej półgodziny. Późno wieczorem, znużony i jak rozbity na duszy i na ciele, wróciłem do obozu.

ROZDZIAŁ III.

Aby nie było potrzeba niedźwiedzia wlec zbyt daleko, przysunięto podczas mej nieobecności obóz w pobliże miejsca, na którem go powaliłem. Był tak ciężki, że połączone siły dziesięciu mężczyzn z trudnością tylko wydobyły go z pod drzew i przeniosły przez zarośla do ognia.

Mimo że późno wróciłem, zastałem jeszcze wszystkich na nogach z wyjątkiem Rattlera, który odsypiał jeszcze przepicie. Musiano go nawet przenieść jak kloc i porzucono w trawie. Sam zdjął skórę z niedźwiedzia, ale mięsa się nie tknął. Gdy zsiadłem z konia i zaprowadziłem go na miejsce, rzekł mały:

— Gdzie wy uganiacie? Z bólem serca czekaliśmy na was, bo chcieliśmy miśka pokosztować, a nie mogliśmy go krajać bez waszego pozwolenia. Na razie ściągnąłem zeń surdut, tak dobrze na niego zrobiony, że nie miał ani jednego fałdu, hi! hi!

hi! Nie weźmiecie mi chyba tego za złe. A teraz rozstrzygniecie, jak podzielimy się mięsem. Chcemy upiec kawałek, zanim się spać położymy.

— Dzielcie, jak się wam podoba, — odrzekłem — mięso należy do wszystkich.

— Well, w takim razie posłuchajcie kilku słów.

Najsmaczniejsze są łapy. Ja zresztą nie znam nic lepszego nad łapy niedźwiedzie. Muszą jednak poleżeć przez pewien czas, zanim nabiorą właściwego smaku. Wyborne są wtedy, kiedy je już robaki poprzeżerają, ale my tak długo czekać nie możemy, gdyż obawiam się, że nam Apacze popsują biesiadę. Dlatego wolimy zawczasu zabrać się i dziś już nadpocząć łapy, a gdy je spożyjemy, wtedy mogą nas zdmuchnąć czerwonoskórcy.

Zgoda, sir?

— Owszem.

— Well, niechajże się dzieło zacznie. Apetyt jest, jeśli się nie mylę.

Odkroił stopy od łap i rozdzielił je na tyle części, ilu było ludzi. Ja otrzymałem najlepszy kawałek przedniej łapy, owinąłem go i odłożyłem na bok, gdy tymczasem inni pośpieszyli ze swoimi, by je upiec czemprędzej. Ja nie mogłem jeść, choć czułem dotkliwy głód po długiej i męczącej jeździe. Wciąż jeszcze byłem pod strasznem wrażeniem mordu. Zdawało mi się, że siedzę z Kleki-petrą, słyszę jego zwierzenia, które mi się teraz przedstawiały jak spowiedź ostatnia, ciągle

snuły mi się po głowie jego słowa końcowe, brzmiące jak przeczucie blizkiej śmierci. Tak, liść jego życia nie opadł cicho i lekko, lecz zerwany został przemocą i przez kogo, przez jakiego człowieka, dlaczego w taki sposób? Tam leżał jeszcze morderca pijany do utraty przytomności. Byłbym go zastrzelił, lecz brzydziłem się nim. To uczucie odrazy sprawiło też prawdopodobnie, że go Apacze nie ukarali na miejscu. „Woda ognista" wyraził się Inczu-czuna wzgardliwie. Jakież oskarżenie i zarzuty zawierały się w tem jednem słowie!

Jeśli mię co mogło uspokoić w sprawie tego krwawego wypadku, to ta okoliczność, że Kleki-petra skonał na ręku Winnetou, przeszyty kulą, przeznaczoną dla tego Apacza. Ale skąd wzięła się prośba, bym przy Winnetou został i dokończył poczętego dzieła? Czemu ją wystosował do mnie? Kilka minut przedtem sądził, że nie zobaczymy się już nigdy, że więc droga mojego życia nie zawiedzie mnie do Apaczów, a naraz narzucił mi zadanie, które musiało połączyć mn[ie z tym] szczepem.

Koniec wersji demonstracyjnej.

Dziękujemy za skorzystanie z oferty naszego wydawnictwa i życzymy miło spędzonych chwil przy kolejnych naszych publikacjach.

Wydawnictwo Psychoskok